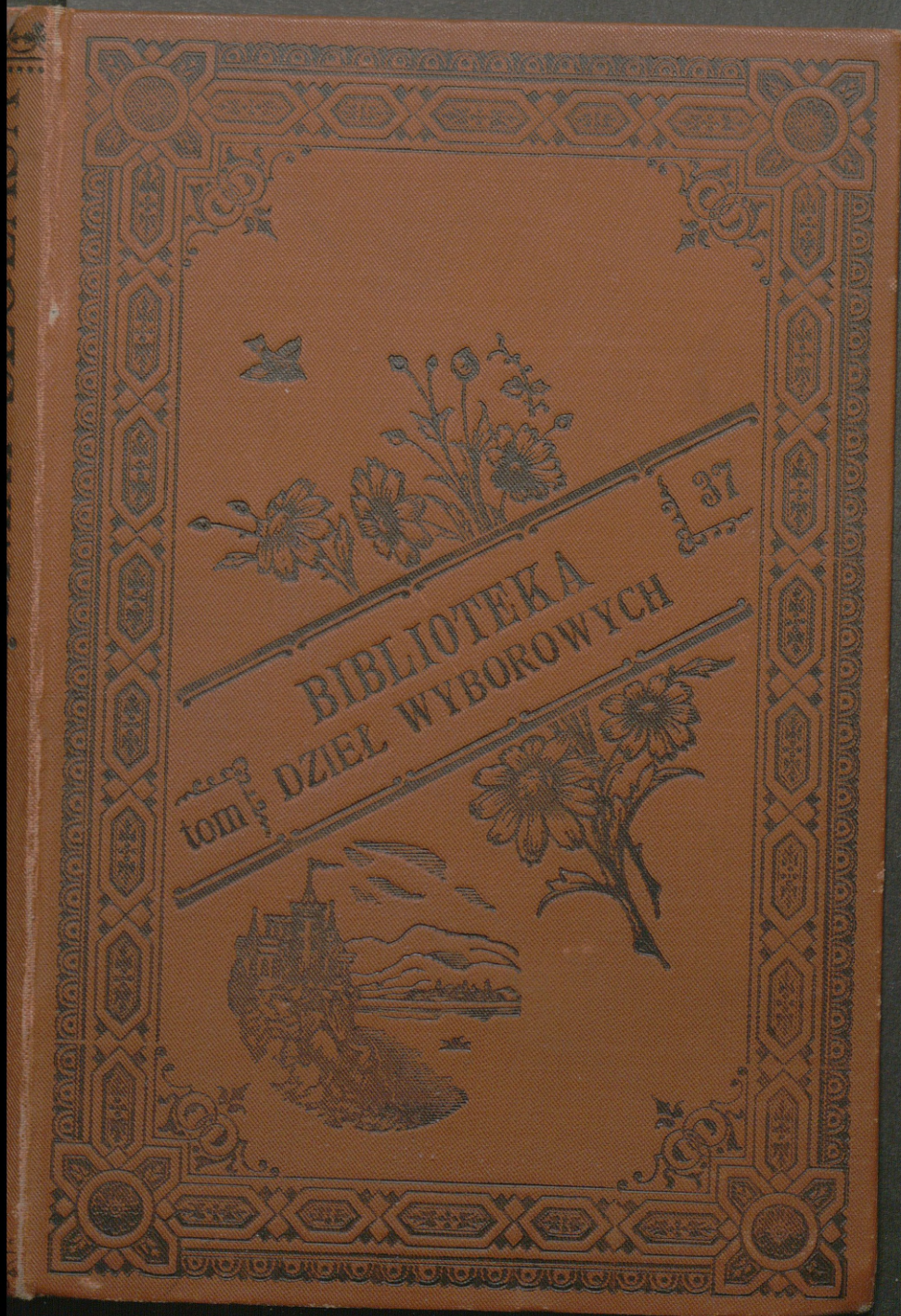
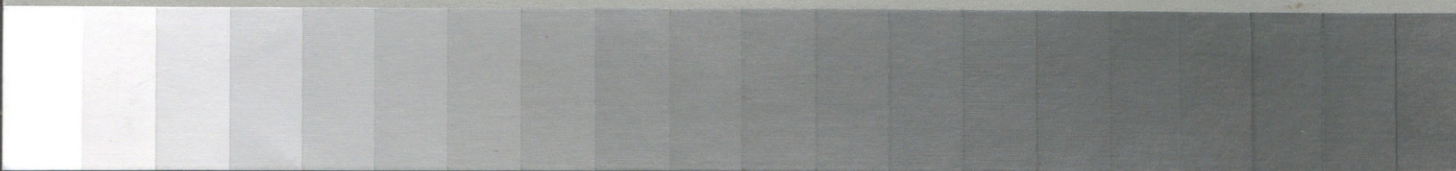


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





BIBLIOTEKA
DZIEŁ WYBOROWYCH

tom

37

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 37.

Pamiętniki
SEGLASA



Fryderyka hr. Skarbka

z przedmową

Piotra Chmielowskiego.

Cena 25 kop.

W prenumeracie 19¹/₄ k.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

—
1898.

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacz**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.

Tom.

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
 - 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
 24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
 31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 - 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłumaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 - 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trampczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Segiasa**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
-

Pamiętniki
SEGLASA

PRZEZ

FRYDERYKA HR. SKARBKA

Z przedmową

Piotra Chmielowskiego.



WARSZAWA.

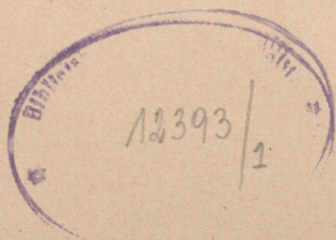
DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

884-3 : 8(09)

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Мая 1898 года.



Pamiętniki Seglasa.

Koleje życia i ogólną charakterystykę autora „Pamiętników Seglasa“ znajdą czytelnicy na czele I-go tomu „Dziejów Księstwa Warszawskiego“; tu więc tylko o samym tym utworze powiem słów kilka.

Postać i nazwisko Seglasa, jako autora wspomnień, jest naturalnie zmyślone, lecz istota rzeczy, treść, zdarzenia, przedstawiane w tych wspomnieniach, mają niewątpliwą cechę autentyczności, gdyż w przeważnej części są odzwierciedleniem osób i stosunków z najbliższego otoczenia autora rzeczywistego, to jest Fryderyka hr. Skarbka.

Głównem zadaniem tego dziełka było zobrazowanie tak zwanych „czasów pruskich“, czyli okresu, w którym Warszawa, ze znaczną częścią dzisiejszego Królestwa Polskiego zostawała pod panowaniem Prusaków (od 1795 do 1807). Ta sama chwila odmalowana już był przedtem w głównym epizodzie po-

wieści Hofmanowej p. t. „Karolina“ (1839). Być nawet może, że ta właśnie okoliczność pobudziła Skarbkę do wzięcia za pióro i nakreślenia „Pamiętników Seglasa“, które ukazały się najprzód w r. 1845 bezimiennie w „Bibliotece Warszawskiej“, a potem w odbitce książkowej.

Hofmanowa opisywała głównie życie warszawskie, sceny, które się odbywały „pod Blachą“, gdzie rej wodziła pani Vauban, przyjaciółka księcia Józefa Poniatowskiego; Skarbek wziął sobie za cel odtwarzanie życia na prowincyi przeważnie: wychowania dzieci na sposób francuski, życia nad stan, zabaw, hulank, marnotrawstwa, zadłużania majątków, tracenia ich bez pamięci o przyszłości.

„Czasy pruskie“ odznaczały się dziwną, obecnie zdumiewającą nas lekkomyślnością, zarówno pod względem obyczajowym, jak i ekonomicznym. Szał zabawy porwał wszystkich, nie wyłączając nawet tych, których społeczeństwo za dawniejsze zasługi na świecznikach stawiało. Niektórzy chcieli wytłómaczyć ten smutny objaw chęcią gluszenia się po doznanych klęskach straszliwych. Być może, że działał częściowo i ten motyw; więcej atoli nacisku wypadnie położyć na płytkość duszy i bezmyślność, która nie pozwalała zastanowić się nad rzeczywistą grozą położenia i pobudzała do korzystania z chwili dzisiejszej.

Obrazek, nakreślony przez Skarbkę z życia w Żelazowej Woli i w Toruniu, można zastosować do

wszystkich miast ówczesnych, jak niemniej i do wielu wiosek. „Pamiętam świetną bardzo uroczystość, w rocznicę imienin matki mojej wyprawianą. Świat elegancki z Warszawy zjechał się na nią i kilkadziesiąt osób ze służącymi i końmi gościło u nas przez dni kilka. Uczty przerywane były tańcami i przedstawieniami scenicznymi, a między niemi kilka dam i młodych kawalerów w ubiorach tyrolskich, przyprowadziło na podwórze dworskie tyleż krów z Tyrolu sprowadzonych, ofiarując je przy stosownych śpiewach matce mojej na wiązarek.“

Albo znów w Toruniu: „Duch zabaw i towarzyskiego pożycia, mowa wszędzie słyszana, hałaśliwość swobodna i czasem nawet za głośna, zalotność i intrygi miłosne, wreszcie hulanki, zwady i pojedynki, wszystko to przytrafiało się podówczas i dawało mu powierzchowne znamię prawdziwie polskiego miasta.“

Ale na te zabawy i hulanki, które czasami przemieniały się w bachanalie, potrzeba było dużo pieniędzy. Dla rolników były to chwile pomyślne; ceny zbóż niebywale wysokie, a kredyt niezmiernie ułatwiony, bo Prusakom chodziło o to wielce, żeby się bawiono jaknajlepiej i o niczem innem nie myślano. Ztąd obywatele zadłużali się; czas ich radości i wesela był krótki; przyszły licytacye i wyrzucanie z majątków.

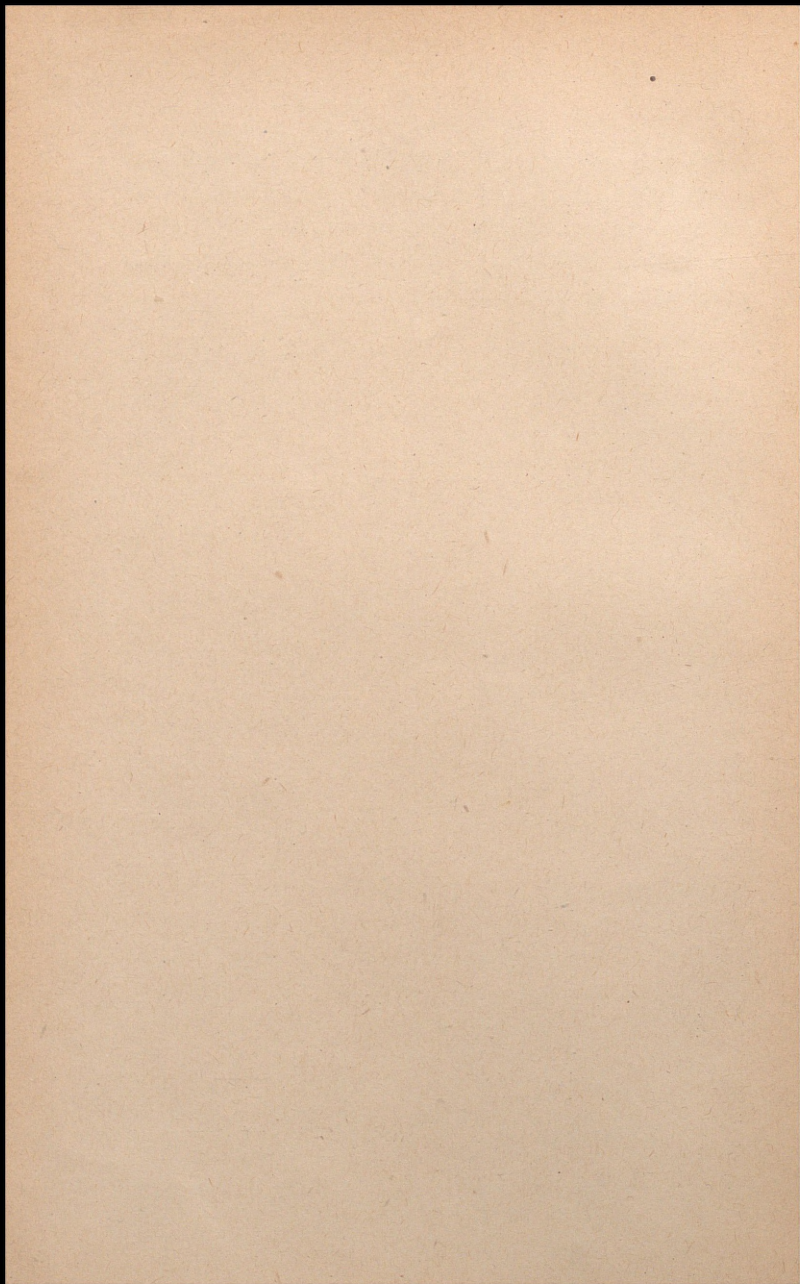
I znowuż scena, którą Skarbek w „Pamiętnikach“ swoich rzeczywistych opowiada o ojcu, a któ-

rą warto zestawić z podobną sceną w „Pamiętnikach Seglasa“, może być uważaną za typową w owej dobie: „Matka moja—powiada on—wiedziała o tem dobrze, że te zbytki i ta wystawność były ostatnim połyskiem gwiazdy szczęścia ojca mojego. Jakoż wkrótce... zajechała pewnego dnia zwyczajna bryczka przed dom rodzicielski; zaprząg i pakunek nie okazywały, aby miała być przeznaczoną do dalszej podróży; mówiono tylko, że pan domu na krótko i nieodległe odjeżdża; ale ani my dzieci, ani nikt z domowników nie wiedział, dokąd jedzie i kiedy powróci. Uderzyło mnie wtedy to, że ojciec czulej niż zwykle pożegnał się z matką i że nas z rozrzewnieniem uściskał; pozwy zaś wkrótce po wyjeździe jego, wedle procedury pruskiej na drzwiach dworu przybite, a objawiające zajęcie i sprzedaż przez publiczną licytację ruchomości do ojca należących, przykre na mnie uczyniły wrażenie; lecz długo nie wiedziałem o tem, że ojciec przed wierzycielami ujechał za granicę i że matka, dla ocalenia reszty własnego swego majątku, musiała przeciw niemu proces rozwodowy wytoczyć.“

Takie to chwile z końca przeszłego i początku XIX stulecia maluje nam Skarbek w „Pamiętnikach Seglasa“, stylem prostym, niewyszukanym, ale łatwym, gładkim i płynnym. Skłonność satyryczna może tu i owdzie zaostrzyła niektóre rysy obyczajowe, ale naogół opowiadanie jego ma cechy prawdy i szczerości, a porównane z tem, co nam zkaład o owym okresie wiadomo, nie może być wcale

o przesadę oskarżone. Do dziejów politycznych nie dostarczają „Pamiętniki Seglasa“ materiału, bo to nie było ich zadaniem; ale w sprawie odtworzenia usposobień, nastroju, obyczajów owego czasu, dają wiadomości wiarogodne i zajmujące.

Piotr Chmielowski.



ROZDZIAŁ I.

Przybywam do Polski.

Było to dnia 25 marca roku pańskiego 1789 w piątą rocznicę tak zwanej rzeczypospolitej francuskiej, gdym przy odgłosie trąby, ale pocztarskiej, na wozie, ale nie tryumfalnym, tylko na wozie w całym znaczeniu tego wyrazu, wjazd mój odbył do kraju, więcej obmawianego niż na to zasługuje, nie domyślając się nawet tego, że w nim najpiękniejsze lata życia mego przepędzę i najmilsze może zostawię wspomnienia, po które dziś sięgam pamięcią, ażeby niemi mniemane szczęście obecnej chwili określić.

Tak jest, było to w końcu marca, w czasie, w którym w ojczyźnie mojej drzewa liściem i kwiatem są pokryte, a wszystko świeżością wiosny oddycha, gdym łamał pierwsze dla mnie lody wiosenne

w kolejach drogi, która mnie prowadziła do tej prowincyi pruskiej, co ją krajowcy Polską zwali.

Proszę sobie wyobrazić, jakie na mnie czynić musiał wrażenie kraj, w którym przytułku i sposobu do życia szukałem, na mnie, mieszkańcu niemal południowej Francyi, wychowanym w szczęśliwem próżniactwie, powołanym jeżeli nie do zbytku magnatów, to przynajmniej do wygod, jakich oni, a zwłaszcza ich kobiety, ludziom do uprzyjemnienia ich pożycia przeznaczonym, nie odmawiają, gdym musiał, siedząc na źle związanym pęku słomy, ze skromnym tłoczkiem w nogach, zastawiać się przez dzień cały dziurawym parasolem od natarczywości deszczu ze śniegiem zmieszanego, mierzyć poruszeniem boków moich głębokości dolów, w które koła wozu mego zapadały, nie widzieć nic przed sobą, prócz zasępionych równin lasem lub szeregiem nędznych chat ograniczonych, i nie módz się osuszyć, jak tylko z ciężkiem udręczeniem najdelikatniejszego zmysłu mego, powonienia, tak nieżnośnie przy każdym wstępie do karczmy narażonego

Lubo ani wysoko, ani w dostatkach urodzony, należałem wszakże do tych szczęśliwych istot, którym ślepy los to przeznaczy, co w powołaniu wielkich panów jest najlepszego: dobre wychowanie i wykwintne wygody pożycia. Ojciec mój był bowiem

intendentem księcia B. C., a ja chowałem się od lat najmłodszych z synem księżęcym, abym przez pilność moją uświadomioną w nim emulację obudził. Po skończonej edukacji, gdy mój dostojny kolega dowództwo pułku otrzymał, oddał mnie ojciec do seminarium, chcąc mnie usposobić na ten osobliwszy rodzaj duchownej osoby, której nazwisko i powierczliwość świętości wstęp do używania uciech światowych we Francji ułatwiały. Nie będąc właściwie księdzem, nosiłem sukienkę duchowną w 26 życia, wśród światowych salonów pana mego, i dla tej sukienki uciekać musiałem z Francji, zamienić swobodne próżniackie życie na mozolne usiłowanie o utrzymanie życia w wieku, gdy mi szczęście najbardziej się uśmiechało, gdy go najlepiej używać umiemy.

Pierwsze dwa lata emigracji przepędziłem w Szwajcaryi przy księciu, w którego towarzystwie z kraju uszedłem, i nie czułem jeszcze niedostatku, póki trwały szczątki funduszów, przez pana mego ocalonych. W trzecim utraciłem dobroczyńcę, i sobie samemu zostawiony, chwyciłem się dla chleba różnych z kolei rzemiosł, z których każde, choćby najlżejsze, odrętwione próżnowaniem siły moje przechodziło.

Gdy już wszystkie zdolności i zasilki wyczerpane były i gdym się oddawał rozpaczcy z powodu

smutnego losu, jaki mnie czeka, zapisany zostałem przez jednego z przyjaciół, który od roku przytułek i sposób do życia znalazł w Polsce, na nauczyciela, czyli tak zwanego guwenera do tego kraju. Mówię zapisany zostałem, bo żądanie i odbył na guwenerów francuskich były tak wielkie wówczas w Polsce, iż nas zapisywano z Niemiec, ze Szwajcaryi i z innych miejsc schronienia się naszego, podobnie jak panowie nasi niegdyś papugi i inne bawiące zwierzęta z osad sobie zapisywali.

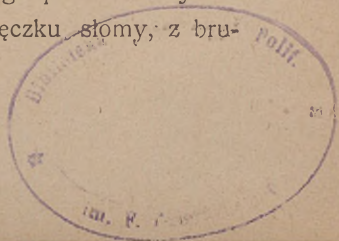
Francuz emigrant, a do tego jeszcze tak zwany *Monsieur l'abbé*, był to poniekąd osobny gatunek z rodzaju dwunożnych zwierząt, ludźmi zwanych, który był dobry, skoro miał trzy powyższe charakterystyczne cechy swego gatunku, bez względu na to, jakie było jego usposobienie do trudnego pedagogów powołania.

Każdy dom szlachecki w Polsce musiał mieć Francuza guwenera, czyli „labego“, bądź to do uczenia dzieci i niedorożków mowy francuskiej, bądź też do prowadzenia kowersacyi z panią, z pannami domu, jako i z przybyłymi gośćmi. Był to poniekąd zbytkowny, modny a niezbędny mebel w każdym porządniejszym domu; a ponieważ każdy zbytek od większych do mniejszych przechodzi, upowszechnił się zwyczaj posiadania guwenerów do tego stopnia,

iż ich na różne ceny, począwszy od 12 do 100 dukatów rocznie ustawicznie z za granicy zapisywano.

Czy to nazwisko księcia, przy którym się wychowałem, czy też protekcyja mego ziomka, który mnie sprowadzał do Polski, dość, że byłem tak szczęśliwy, iż należałem do rzędu droższych guwernerów z za granicy sprowadzonych, i że podług opisu mego przyjaciela do znakomitego domu dostać się musiałem. Lecz przeprawa do tego portu ocalenia, gdzie mnie dostatki, przyjemne towarzystwo i niemozolna praca według zaręczenia mego przyjaciela czekały, ta, mówię, przeprawa była dla mnie tak przykra, iż coraz bardziej wątpiłem o rzetelności opisów sobie czytanych, im więcej się do celu mojej podróży zbliżałem.

Kto w dziewiętnastym wieku w wygodnym dyliżansie lub wozie przez parę koni ciągnionych siedzi, ten sobie nie może nawet wyobrazić, jaki smutny był los w końcu nawet ośmnastego wieku podróznego, nie mającego własnych koni, ani powozu, przekładanego wraz z pakami z jednego powozu na drugi, który do połowy był tylko płótnem okryty, a co go chyba przez gorzką ironię dyliżansem zwano. Lecz tem mniej jeszcze przypuści podobieństwa, aby dobrze wychowany człowiek mógł podróż odbywać małym niekutym wozem, na pęczku słomy, z bru-



dnym żydem za woźnicę, z dwiema z kształtu tylko do koni podobnemi istotami w zaprzęgu. Gdy bowiem minąłem Poznań, dostałem się do okolicy, przez którą dylizans nie przechodził, i dlatego nie mogąc dla szczupłości funduszu odwołać się do pomocy pocztowej, musiałem ugodzić furmana, który mnie za nader małe wynagrodzenie do miejsca przeznaczonego odwoził.

Nie, kochani panowie Polacy, lubo jestem dzisiaj wielkim przyjacielem waszym i lubom po wielu latach pobytu umiłował wasz kraj do tego stopnia, że dzisiaj z malowanych okolic mej ojczyzny tęsknię za nim, nie mogę się przyznać do tego, aby się tyle od was kochana Polska mogła podobać zachodniemu cudzoziemcowi, gdy w końcu zimy, dnie całe brnąc po błocie, nie może pocieszyć oka żadnym widokiem piękności natury lub zamożności człowieka. Wszyscyśmy wymyślali na kraj polski, gdyśmy po raz pierwszy przybywali, i wszyscyśmy go potem polubili, gdyśmy część życia naszego w nim przepędzili.

Dlatego wolę przestać opisywać przykre wrażenia, jakie ta podróż w pamięci mojej zostawiła, wspomnieć raczej wolę, jakom niespodzianie z zupełnem odurzeniem wpadł do domu, do którego należeć miałem.

Noc ciemna, z przymuszonem towarzyszeniem

drobnego deszczu i śniegu na twarzy oblegającego, trapiła mnie już od czterech godzin i zupełnie mi wzrok niepotrzebnym czyniła, a od połowy tego czasu powtarzane zaręczenia mego woźnicy, że już niedaleko, po zniecierpliwieniu zwątpiałość i takie moralne odrętwienie we mnie wzbudziło, iż się na wozie moim stałem podobnym do tych nieszczęśliwych istot, co ze związanymi nogami podobnymże ekwipażem do szlachtuzów jeżdżą, gdy na zakręcie drogi, po przejeździe koło jakichś długich zabudowań, ukazał się dom duży bez piętra, cały światłem jaśniejący, z niego dochodziły mnie huczne odgłosy muzyki, niekiedy krzykami radości zagłuszane. Przed domem stały kagańce, rzucające połyskujące światło na dziedzińcu powozami zapelniony. Niespodziewane a nagłe wrażenie mocnego światła i hucznych odgłosów tak mnie odurzyły, że nie był zdolny nic rozumieć, ani żadnej myśli zebrać, i że zajechałem przed dom, wysadzony zostałem z wozu i zaprowadzony do pokojów pełnych gości, nie wiedząc o niczem i w stanie lunatyka, który się budzi i nie może sobie zdać sprawy, jak się dostał tam, gdzie się właśnie znajduje.

Stałem chwilkę z otwartymi ustami, z obłąkanym, lecz niewzruszonym wzrokiem, w przemokłym płaszczu, z kapeluszem w jednej, a z parasolem,

z którego struga na posadzkę spływała, w drugiej ręce, jakbym czekał, aby mnie kto obudził i do używania zmysłów przywrócił. Niedługobym był czekał na tę przysługę, jeżelim tylko na to miał odzyskać przytomność, abym powrócił z kąd przyszedłem, bo kilku lokajów zbliżyło się do mnie i nie odebrawszy żadnej odpowiedzi na swoje niezrozumiałe dla mnie zapytania, zabrali się poprostu do tego, aby mnie za drzwi wypchnąć; szczęściem mojem wracający ze dworu grzeczny jakiś kawaler, domyśliwszy się po ustawicznie powtarzanym jedynym wyrazie, któregom się naówczas nauczył, to jest *nie rozumi*, iż byłem Francuzem, przemówił do mnie moim językiem i zapytał, ktobym był i z kąd się tu wzięłem?

Otrzymawszy odemnie stosowną odpowiedź, pobiegł grzeczny mój wybawca do koła mężczyzn, między którymi krążył kielich wina, i doniósł zapewne gospodarzowi domu, że przemokły i odurzony przy drzwiach stoi, nie śmiejąc postąpić i kroku dalej. Wkrótce spostrzegłem, jak to koło mężczyzn złamało się i stopniowo w długi szereg zamieniło, na którego czele szedł, ile się domyśleć mogę, sam gospodarz domu. Wkrótce zostałem otoczony, wzbudzając głośny śmiech tych, co jeszcze śmieszne wrażenia odbierać i pojmować mogli, i gdym się po części trwożyć, a po części gniewać zaczynał, przemé-

wił do mnie uprzejmie gospodarz domu, powitał uściśnięciem ręki, jako pożądanego gościa, i podał mi pełen kielich wina, który przeziębły i spragniony, bez namysłu do dna wychyliłem. Brawo! krzyknęli wszyscy i wnieśli moje zdrowie, za co, jak mnie nauczono, musiałem podziękować wychyleniem większego jeszcze kieliszka od tego, którym mnie powitano. Wkrótce zaczęło się wszystko kręcić ze mną, koło siebie słyszałem gwar mówiących i odgłos muzyki, ale ani wyrazów, ani tonów nie rozpoznawał, widziałem mnóstwo osób, dwa razy nawet więcej, niż ich było w sali, ale ani jednej rozeznąć nie mógł, a gdy mi podano trzeci kielich, sięgnąłem po niego machinalnie, otrząsnąłem się, gdym go niósł do ust, ale wypróżniłem go za naleganiem otaczających mnie osób i po chwili nic już nie widziałem, nie słyszałem i nie czułem, i znikłem ze świata, tak jak świat cały znikł przedemną.

ROZDZIAŁ II.

Pierwszy mój uczeń i jego przybrana matka.

Nie wiem, czy takich uczuć doznają mieszkańcy wschodu po użyciu opium, jak ja po użyciu wina węgierskiego na pierwszym wstępie do domu polskiego, ale to wiem, że sny moje przez noc całą, a bardziej jeszcze chwila obudzenia się, nie zachęciły mnie bynajmniej do powtórnego odurzenia zmysłów moich trunkiem, aby się do siódmego nieba dostać; owszem, wzdrygam się całe życie na samo wspomnienie kołującego się w głowie mojej świata całego po owem upojeniu, ociążenia głowy, niesmaku i nudności nazajutrz i poniżenia w mojem własnem przekonaniu, jakiego byłem przedmiotem, gdym się musiał przedstawić osobom składającym dom, do którego wchodziłem.

Ociążałość i odurzenie trzymały mnie w łóżku

nader długo, i nie wiem, czybym nie był drugiego wieczora dospał, gdyby mnie nadzwyczajny łoskot w moim pokoju nie przebudził. Huk jakiś nadzwyczajny ocucił mnie nagle, zerwałem się, usiadłem na łóżku i spojrzałem obląkanem okiem przed siebie, nie mogąc nic rozeznaczyć, ani pojąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Ciężąca mi głowa pociągnęła mnie napowrót do poduszki, tak dalece, iżbym był usnął nanowo, gdyby mnie śmiech głośny powtórnie z odurzenia nie był wyprowadził. Tym razem widziałem, że izba była pełna dymu, czułem proch, domyślałem się, że strzelono w pokoju, i gdy mnie to dostrzeżenie trwogi nabawiło, dojrzałem między dymem siedzącego na stole młodzieńca, który trzymając w ręku strzelbę, śmiał się do rozpuku i przechylał się ze śmiechem z jednej strony na drugą.

Po chwili namysłu i przecierania oczu, przypomniałem sobie przecie, gdzie byłem i dlaczego mnie głowa bolała, i w końcu zdołałem przemówić słów parę, pytając się, ktoby był w pokoju i z kąd pochodził dym i huk słyszany.

— Pocóż pan śpisz tak długo—była odpowiedź młodzieńca, który powściągając nicco śmiech, z niechcienia dzwonił, jak mówią, nogami.

— Kto pan jesteś?—rzekłem—i co ci mój sen może przeszkadzać?

— Pan jesteś guwernerem, a ja mam być jego uczniem, dlatego chciałem, abyśmy się jak najprędzej poznali—odpowiedział od niechcienia młodzieniec.

— Więc to pan strzeliłeś w pokoju, aby mnie obudzić?

— A ja, ale tylko prochem, jak mamę kocham, a pan byłeś taki śmieszny, taki przerażony, że ledwo nie pękł od śmiechu—rzekł mój przyszły uczeń i nanowo się w głos śmiać zaczął.

Trudną była rola, jaką odegrać miałem. Byłem wyśmiany przez ucznia mego, który na pierwszą znajomość figla mi wyplątał; trzeba było przybrać ton powagi, zgromić go, a przynajmniej zwrócić mu uwagę na nieprzyzwoitość postępku jego, a tu ciężało na sumieniu upicie się wczorajsze, które za dobry przykład uchodzić nie mogło, i leżałem nieubrany w łóżku, co mi odbierało wszelką możność przybrania poważnej powierzchowności.

— Pan zapewne strzeliłeś oknem do ptaszków, nie wiedząc, że ja śpię w tym pokoju — rzekłem do mego ucznia, chcąc mu poddać sposób wytłómaczenia się i pokrycia kłamstwem niedorzeczności swojej, a wyjść przytem z trudnego położenia mego.

Ale on nie przystał bynajmniej na poddany mu sposób tłómaczenia się, lecz odpowiedział, patrząc mi śmiało w oczy i bujając jak wprzódy nogami:

— Ja strzeliłem dlatego, aby pana obudzić i cieszyć się z tego, jak śmieszoną będziesz miał minę, gdy się ze snu nagle zerwiesz.

Zbyt mało jeszcze miałem doświadczenia pedagogicznego, ażebym mógł być wiedzieć, jakim sposobem wypada powściągnąć zuchwałość mego przyszłego ucznia, lub nawet co mu było odpowiedzieć na wyraźną niegrzeczność jego. Zmieszawszy się przeto, zamilkłem zrazu, a gdy przecież cokolwiek odpowiedzieć trzeba było, nastęczył mi się w impertynckim frazesie jego jeden wyraz francuski zupełnie źle użyty, który jako nauczyciel winienem był poprawić, co też uczyniłem, i zapytałem go, od kogoby się był uczył po francusku.

— Od pana Kupa—była krótka odpowiedź.

— Al pan Kupa — rzekłem tak spokojnie, jak gdyby się między nami najgrzeczniejsza rozmowa toczyła—któż to był ten pan Kupa?

— Był to taki sam jak wspan, Francuz i guwerner mój—odrzekł młodzieniec, przedmuchując niedawno wystrzeloną fuzyę.

— Czy on panu nie dawał nigdy przestroóg względem sposobu, jak się młody człowiek znajdować powinien w obecności osób starszych, którym winien jest jakieś poszanowanie? — zapytałem z przyciskiem,

tem ucieszony, żem się potrafił zdobyć na napomnienie, z pewną powagą wyrzeczone.

Suche *nie*, było odpowiedzią młodzieńca, nader zajętego przecieraniem strzelby.

— Czy on pana niczego więcej nie uczył, prócz francuskiego języka?—zapytałem dalej.

— O i owszem—odpowiedział— nauczył mnie strzelać, bośmy zawsze z sobą chodzili na polowanie, tańcować, i dla wprawy tańcowaliśmy wieczorami ze służącemi, w kobiecym pokoju, gdy rodziców w domu nie było lub gdy spać poszli. Nauczył mnie także zastawiać sidła i potrzaski na ptaszki, łapać wrony na lep. O! żebyś to pan wiedział, jak to zabawnie, kiedy wrona przylepi sobie tutkę papieru do głowy i z nią się w górę wzbija...

— Ale—przerwałem mocno zdziwiony—jakieżeś pan pobierał nauki? co np. czytywaliście z guvernerem?

— E! co tam — odpowiedział mój młodzieniec, zeskakując ze stołu. — Trzeba panu wiedzieć, że ja nie mogę długo usiedzieć na miejscu, bo mi to szkodzi, dlatego nie cierpię się uczyć, ani czytać.

— Więc pan nigdy nie czytywałeś z panem Kupim?

— I owszem—dodał młodzieniec, szukając czapki po pokoju — czytywaliśmy z sobą Guliwera i Ro-

binsona, ale ja wołałem Guliwera, bo to jeszcze zabawniejsze, niż Robinson.

— A historii i geografii, czy nie uczył pana ów pan guwerner?

— E! co tam! — odparł żywo mój przyszły uczeń—niech pan lepiej oto wstaje i ubiera się, bo niezadługo dadzą do stołu.

To rzekłszy, wybiegł z pokoju i zostawił mnie w zadumaniu nad nowem powołaniem mojem i nad trudnością obowiązków, które bez znajomości osób na siebie przyjąłem. Miałem bowiem przed sobą młodzieńca około lat 16 mieć mogącego, niewielkich, ile się zdawało, zdolności umysłowych, lecz zato barczyściego i silnie zbudowanego, u którego część fizyczna istoty widocznie nad moralną przemagała. Musiał być albo bardzo pieszczony, albo też zupełnie zaniedbany, bo przejęty był wyuzdaną swawolą, a nie miał żadnego wyobrażenia o uległości, ani o grzeczności, a do tego wszystkiego był zepsuty przez poprzednika mego, który do wrodzonych wad wyuczone dodał.

Ciężko westchnąłem na samo wspomnienie, że byłem zapewne na to powołany, aby przeinaczać tę nieforemną naturę i wytępić wady przez złe wychowanie wpojone. To smutne przeczucie i wspomnienie na katastrofę, która mnie przy pierwszym wstępie do tego domu spotkała, a do tego jeszcze ociążenie gło-

wy i to nieprzyjemne wrażenie, jakie nazajutrz po przepiciu w całym naszym jestestwie zostaje, skłoniły mnie do tego, że pod pozorem słabości pozostał w moim pokoju i postanowił wieczorem dopiero przedstawić się rodzicom młodzieńca, który tyle trwogi we mnie wzbudził.

Przepędziwszy samotnie kilka godzin na domysłach względem losu, jaki mnie czeka, i pomimo napół duchownej powierzchowności mojej dołożywszy największego starania w ubiorze moim, udałem się do pałacu z bijącym sercem i z tem uczuciem, jakie przejmuje sierotę, przytułek u obcych osób znajdującego.

Przebywszy przedpokój, w którym grający w karty lokaje zrazu zerwali się z miejsc swoich, lecz natychmiast usiedli, dostrzegłszy, że nie pan żaden, lecz tylko guwerner przechodził, otworzyłem nieśmiało drzwi do bawialnego pokoju, w którym miałem zastać całe towarzystwo zgromadzone. Jakoż wszedłszy i zamknąwszy ostrożnie drzwi za sobą, ukloniłem się bardzo pięknie i poważnie na samym wstępie i schylając głowę, nie dostrzegłem tego wcale, że nikt z obecnych ukłonu mego nie widział. Lecz gdy podniosłem głowę do góry, ujrzałem grono mężczyzn około stołu skupione, z których żaden mnie nie widział, dlatego, że nie mógł lub, że nie chciał mnie widzieć. Z nieśmiałością posunąłem się napróżd

i spostrzegłem siedzącego za stołem gospodarza domu, przed nim dwie talie kart i stosy złota między czterema woskowymi świecami, a naokoło stołu trzech siedzących, a innych opartych rękami na krzesłach, lub na stolikach graczy, którzy iskrzącem się okiem śledzili karty, na prawo i na lewo z ręki pana domu padające. W milczeniu przypatrywałem się grającym i dostrzegłem, iż wszyscy wiele grzeczności dla bankiera okazywali i że ten ciągle przegrywał. Nie śmiałem zbliżyć się do niego tembardziej, że się niechęć na jego twarzy malowała, a nie chcąc grającym przeszkadzać, zwróciłem się ku drzwiom do drugiego pokoju otwartym, w domniemaniu, że się tam damy znajdować muszą, aby się przedstawić nieznaney mi jeszcze gospodyni domu.

Jakoż nie omyliła mnie nadzieja i gdym równie nieśmiało, jak wprzódy, przestąpił próg tych drzwi, wszedłem do pokoju prawie ciemnego, bo tylko oświetlonego światłem ukrytem w dwóch wielkich alabastrowych urnach, stojących na kolumnach, w rogach pokoju ustawionych. To przytłumione światło więcej mnie przerażało, niż najrzęstsze pokojów oświetlenie, bom się zatrwożył tą myślą, że nierozważnie przybył do tajemniczego przybytku, do którego obcym wstęp był wzbroniony, a to tembardziej, że cichość, jaka tu panowała, przerywana tylko była

kiedy niekiedy pojedynczemi wyrazami, z różnych stron pokoju do mnie dochodzącemi.

Pomimo słabego światła, można było rozeznaczyć przedmioty w tym pokoju, dlatego ujrzałem na małej kanapie między oknami, w miejscu najwydatniejszym i światłem z pierwszego pokoju oświetlonym, piękną i bardzo młodą panienkę, a przy niej dorodnego młodzieńca, który trzymając jej rękę, tak był nią zajęty, że mnie wchodzącego nie widział, ani słyszał; po wolnym i skromnym usunięciu tej ręki przez pannę, gdy mnie spostrzegła, domyśliłem się, że to być musiała narzeczona.

Na sofie, w głębi pokoju, leżała ze szczególną gracyą bardzo piękna dama w tym wieku, w którym się każdy o wejście i uśmiech ubiega, a rzadko który czciciel pożądanego wyboru jest przedmiotem. Jej ramię było z niechcenia oparte na poduszce bogatą materyą krytej, drugą ręką głaskała pięknego pieska bonońskiego, który za mojem okazaniem się najprzód warczeć i szczekać zaczął i niemało się do mego pomieszania przyczynił. Przy tej damie siedział na krześle przed stolikiem dorodny średniego wieku mężczyzna z włosami pudrowanemi i nad czołem w górę zaczesanemi, bawiąc się machinalnie wachlarzem na stole zostawionym. Naprzeciw niego siedziała u tegoż stołu dama starsza od poprzedniej,

w wieku, w którym się także miłosne oświadczenia przyjmuje, a zdobytych czcicieli wszelkimi sposobami uwięzić usiłuje. Przy niej zajmował miejsce młody bardzo człowiek, z wyrazem uszczęśliwienia na twarzy, z którego na pierwszy rzut oka wyczytać się dawało, że niedoświadczenie było źródłem jego szczęśliwości.

Gdym te trzy pary, o ile małe światło pokoju i mojego umysłu dozwalało, rozeznał i ocenił, pojąłem to dobrze, że dla żadnej z nich bytność moja pożądaną być nie mogła, i że się z ukłonem i przemową, ani do wszystkich w ogólności, ani do nikogo w szczególności obrócić nie wypadało; dlatego oszczędziłem, iż wypadało postąpić sobie jak ten, co wszedłszy niechcący między śpiących, cofa się na palcach z pokoju, aby im snu smacznego nie przerwać, i po niezgrabnym ukłonie, mającym w migach znaczyć to samo, co *przepraszam* w wyrazach, zacząłem się cichaczem wymykać z pokoju, aby powrócić do tych, którym przeszkadzać nie mogłem, bo mnie nie widzieli.

Już był nowy but mój nieznośnie skrzypnął, przy wykonaniu obrotu prawo w tył, gdy nader miły głos niewieści zatrzymał mnie w miejscu temi wyrazami:

— A! witamy pana w naszym domu, proszę się zbliżyć do nas.

Organ mówiący, czysta wymowa francuska i uprzejmość przemówienia, nader miłe na mnie czy-

niły wrażenie. Jest w głosie kobiecym coś czarującego, gdy tylko słodczy jego odezwaniami się przewodniczy, co uspokaja i dodaje odwagi strwożonym, a wszystkich nęci do mówiącej i przy niej poniekąd więzi. Wszystkich tych skutków doświadczyłem, usłyszawszy kilka zwyż przytoczonych wyrazów; nietylko zatrzymałem się w miejscu, lecz postąpiłem z uszanowaniem, ale śmiało naprzód i stanąłem przed ową damą leżącą na sofie, która pozostając w miejscu, uprzejmem głowy skinieniem na mój ukłon odpowiedziała i na miejsce próżne przy stole wskazała.

Wypadek mój wczorajszy i nieprzyzwoite przedstawienie się moje w domu, do którego powołany zostałem, nastęrczyły mi przedmiotu do rozmowy i przeprosin. Jakoż zaczęta od tego wypadku, toczyła się żywo i więcej ogólnie między wszystkimi osobami tej części salonu, wyjąwszy rozkochanych na kanapie, dla których świat cały był obcy.

Po niejakiem czasie rozprawiania o moich osobistych stosunkach, wśród którego moje czasem przydługie opowiadanie przerywane było polskim wyrazem, napół głośno przez któregoś z apartenerów tych dam wymówionym i nawet od naszego stołu do kanapki przerzuconym, domyśliłem się, jakie było znaczenie i jakie wzajemne stosunki osób, które miałem przed sobą.

Dama na sofie była oczywiście panią domu; tego się domyśliłem po pierwszym jej przemówieniu do mnie. Była to w całym znaczeniu tego wyrazu osoba piękna, nie z tych piękności, co słodyczą pierwszego wejrzenia ujmują i uwielbienie poszanowania pełne wzbudzają, lecz z tych, co pomimo słodyczy mowy, obawą i nieśmiałością przejmują i więcej podziwiać, niż uwielbiać się każą. Przy czarnych, mocno lśniących się włosach i brwiach szczególnie malowniczo naznaczonych, miała ona płeć bardzo białą; w oczach, długimi rzęsami pokrytych, więcej było dowcipu niż słodyczy. Rysy twarzy więcej się zbliżały do charakterystycznych cech Włoszki, niż Polki. Ton jej mowy i sposób mówienia, jakkolwiek pełen uprzejmości, oznaczał wszakże niekiedy to wewnętrzne uczucie wyższości własnej nad tym, z kim mówiła, to skłonności do lekceważenia i do przekąsów. Znawca mógł być poznać, że ta jej uprzejmość była tylko wymuszoną i przedstawioną jako pierwsze danie temu, kto się jej po raz pierwszy przedstawił, i że w zwykłym pożyciu potrzeba było znosić jej hołdy, do których przywykła, i że tylko pod tym warunkiem łaskawej dochowywała uprzejmości.

Że mężczyzna przy niej siedzący i bliższymi jej względami zaszczycony, nie był ani jej mężem, ani jej bratem, o tem mnie znajomość pierwszego i spo-

sób obchodzenia się i rozmawiania tych dwóch osób przekonał; ale do mnie nie należało zgłębiać tego stosunku, skoro ten, którego on najmocniej obchodził, tak spokojnie w drugim pokoju jedną talię po drugiej odciągał.

Po wyjaśnieniu i poznaniu gospodyni domu, mniej mnie obchodziły inne osoby w pokoju i ich wzajemne stosunki; to tylko poznałem, że podstarzała dama była poufałą przyjaciółką pani domu, a ciotką lub inną bliską krewną narzeczonej na kanapie.

Przy końcu rozmowy naszej zaczęła pani mówić o moim przyszłym uczniu; z jej mowy poznałem, że nie był jej synem, lecz tylko pasierbem i że ja miałem być tą jedyną w domu osobą, która się nim zająć i przychylne uczucia poświęcić mu miała. Zdawało mi się także, iż ten zwrot rozmowy miał być delikatnem przypomnieniem, że powinienbym być razem z moim uczniem; dlatego pod pozorem złączenia się z nim, pozegnałem towarzystwo i nie wiedząc gdzie go szukać, szedłem przez dziedziniec do mego mieszkania, z zamiarem odłożenia do jutra dopełnienia tego obowiązku, gdy przypadkiem, spojrzawszy oknem do pokoju, z kądem wesołe krzyki do mnie dochodziły, spostrzegłem go powtarzającego ze służącymi lekcye tańców, przez mego przyjaciela dawane.

ROZDZIAŁ III.

Pan domu i jego dwór.

Wrażenie wieczora tego przedłużyło się w snach moich, a kasztelanowa (bo taki był tytuł pani domu) barwiła je i urozmaicała ponętami swemi.

Są kobiety, których nie możemy ani uwielbiać, ani poważać, którymbyśmy nawet stałego przywiązania poświęcić nie mogli, a co nas zachwycają za pierwszym rzutem oka, zajmują zawsze wdziękami twarzy i mowy, i nęcą ku sobie, pomimo usilności rozsądku od nich nas odwodzącego.

Taką była kasztelanowa, w młodym wieku potwórnym już związkiem złączona z mężem, który na jej obojętność zupełną oziębłością odpowiadał, pomimo, że się dla niego z pierwszym swoim małżonkiem była rozwiodła i że jej świat odpuścił ten postępek z powodu gwałtownej miłości, jaką w tera-

źniejszym swym mężu niegdyś wzbudziła i z nim dzieliła. Że kto inny był teraz jej hołdownikiem i że kasztelan obojętnie na ten miłosny stosunek poglądał, o tem miałem sposobność przekonać się przy pierwszym moim wstępie do pałacu, a wnioski moje potwierdziło bliższe poznanie pana i tych, co go otaczali.

Okolo godziny dziewiętej zrana, gdym był rozpoczął mozolną pracę skłonienia pana Augusta, a nowego ucznia mego, do okazania z piórem w ręku i na książce, jak dalece wszelkiego usposobienia naukowego był pozbawiony, zawołano mnie do pana kasztelana.

W mniemaniu, że zechce bezwątpienia przekonać się z papierów moich, jak dalece jestem zdolny do pełnienia obowiązków nauczyciela, zabrałem z sobą wszelkie świadectwa szkolne, tudzież pisma naukowe, przezemnie jeszcze w Szwajcaryi do druku przygotowane.

Była to godzina toalety pana kasztelana, w której zwykł był dawać posłuchania oficyalistom swoim i niższego rzędu gościom, z interesami do niego przybyłym. Siedział on przed zwierciadłem w otwierającym się stole osadzonem, przykryty na szlafrok płóciennym płaszczem, pudermantlem zwanym, a kamerdyner zajmował się właśnie tapirowaniem, pomadowaniem i pudrowaniem włosów jego. W ręku

trzymał mały list otwarty, na który w zamyśleniu, lecz z upodobaniem poglądał. W jednym rogu pokoju siedziało przed kominem dwóch mężczyzn, więcej niż średniego wieku, miny więcej rubasznej, niż dobre wychowanie oznaczającej, w stroju dziwacznym, ile się zdawało, myśliwskim; rozmawiali oni z sobą pocichu, pokręcając wąsów, śnać korzystając z tego, że ich pan kasztelan, tyłem do nich siedzący, nie widział.

Bliżej stolika, naprzeciw pana domu, siedział, kołysząc się na krześle w rannym stroju, ów przyjaciel domu, którego wczoraj wieczorem w podobnej zażyłości z małżonką, jak dzisiaj z mężem, widziałem.

Gdym wszedł i ukłonem poszanowania pełnym mego przełożonego powitał, przemówił on do mnie z tą uprzejmą poufałością, która wyraża wyższość stopnia w znaczeniu światowem mówiącego, a nie poniża jednakże tego, do kogo on mowę obraca i której trafem do rzędu bogaczy wyniesiony człowiek, żadnym sposobem nauczyć się nie może. Prosił mnie, abym się zbliżył i zajął miejsce na drugiej stronie toaletowego stolika.

— Zdziwisz się pan bardzo — rzekł do mnie kasztelan, gdym miejsce zajął — gdy się dowiesz, po co pana tak rano kazałem wołać do siebie; oto—do—dał, wskazując na list w ręku trzymany — założyłem

się z pewną damą w okolicy o dwieście czerwonych złotych, że nie zdoła męża swego nakłonić do tego, aby z nią przybył na reduty do Torunia, na które się wszyscy wybieramy; teraz mi donosi, że wygrała zakład, gdyż ów mąż, dotąd nieugięty, wyjechał wczoraj do tego miasta nając stancję i porobił wszelkie przygotowania na ich przybycie. Chciej pan odpisać na ten piękny i dowcipny bilet w sposób wam tylko, Francuzom, właściwy i oświadczyć mojej przeciwniczce, iż gotów jestem spełnić warunek przyrzeczonego zakładu, ale nie prędeż, aż się naocznie przekonam, iż jej małżonka niema w domu: przekonanie, które za jej łaskawem dozwoleńiem dziś jeszcze powziąć pragnę.“

Zdumiałem się na otrzymanie takiego zlecenia. Jako? ja, osoba duchowna, na nauczyciela do syna powołany, mam nowy mój zawód od tego rozpocząć, że dla ojca list miłosny pisać będę? Ja, dla wpajania w młodzieńca zasad moralnych przeznaczony, miałbym wykonać ccś takiego, co się bynajmniej z temi zasadami nie zgadzało? Zarumieniłem się od ucha do ucha, nie wiedziałem, co odpowiedzieć kasztelanowi, lecz musiałem odebrać z rąk jego bilet, na który trzeba było odpisać, a trzymając go w ręku, niepodobna było wymawiać się z dopełnienia zleceń tak uprzejmie mi danych. Powstałem więc i mil-

czący przeszedłem do wskazanego sobie stolika, na którym było całe przyrządzenie do prowadzenia korespondencji, napisałem żadaną odpowiedź, która potrafiła uzyskać pochwałę kasztelana i powiernika, a raczej pomocnika jego, który z rzadką bezinteresownością cieszył się z pomyślnego obrotu zakładu męża przyjaciółki swojej, czego dał dowód, zająwszy się sam zapieczętowaniem listu i napisaniem na nim adresu.

Gdy ekspedycja już była gotowa, zawołał pan kasztelan pana porucznika, jednego z siedzących przed kominem, i zlecił mu osobiste doręczenie jej podług adresu, czem się on niebawem zajął. Następnie zawołał kasztelan kolegę jego, podobnież wojskowym tytułem nazwanego, i polecił mu urządzenie niezwłoczne polowania, jak nam to sam oświadczył, które najmniej dwa dni czasu zająć miało, a od którego przyjaciel domu bólem głowy się wymówił. Domyślić się było łatwo, że kierunek tego polowania musiał być taki, aby myśliwstwo zatrzymać się i spocząć mogło w tem miejscu, gdzie się pan z przegranego zakładu miał uiścić.

Taka była pierwsza próba zdolności moich, która mi się lepiej udała i więcej mi przychylności pana domu zjednała, niż gdybym pana Augusta od razu ortograficznie pisać i gładko czytać był nauczył; mnie zaś więcej obznajmiła ze wszystkimi

stosunkami, niżbym się mógł dowiedzieć przez kilka miesięcy, na naukach z moim uczniem w oficynie strawionych. Dowiedziałem się bowiem, że pan kasztelan był, równie jak jego piękna małżonka, nader grzecznym i uprzejmym panem; że podobnie jak połowica jego, nie szukał w sumieniu swoim zarzutów postępkom własnym czynionych, któreby go przyjemności pożycia pozbawić mogły, i że oboje równie razem zajęci byli dobrem wychowaniem jedynego dziedzica pięknego imienia i wielkiego majątku kasztelana.

Zdawało mi się bowiem, że ten majątek musiał być ogromnym, sądząc po przytoczonej mi przez przyjaciela domu liczbie włości, do dóbr kasztelana należących, po mnóstwie dworskich i służących różnego rodzaju, których uwijających się po pałacu i po wszystkich należących do niego budynkach widziałem, i nakoniec po łatwości, z jaką pan o lada co znaczne zakłady przegrywał.

W tym zbiorze różnych ludzi, którzy na usługach i bawieniu próżniackie trawili życie, dziwił mnie sposób znajdowania się z nimi kilku mężczyzn, do których liczby należeli ci dwaj, co ich w pańskim toaletowym pokoju zastałem. Nie byli to goście lub przyjaciele, do zażyłości towarzyskiej, zwłaszcza wobec dam, przypuszczeni, a zdawali się je-

dnakże dosyć spoufaleri z panem; spełniali oni gorliwie jego zlecenia, ale takie, które nic służbowego w sobie nie miały; siadali do pańskiego stołu i mieli sobie zapewnione wszelkie wygody, nie mając za to żadnych obowiązków do wypełnienia. Dowiedziałem się wkrótce o znaczeniu tych panów; byli to tak zwani rezydenci, ludzie w sile wieku, zatrudnienia i sposobu do życia pozbawieni, którym przesady szlacheckie nie pozwalały się chwytac pracy i przemysłowych zabiegów i którzy, nie mogąc się wszyscy pomieścić w służbach ekonomicznych i wyższych dworskich u znaczniejszych panów, znaleźli u nich schronienie i sposób do życia z darów, z należytą względnością na ich położenie ofiarowanych.

W pierwszych latach panowania pruskiego nie było domu nieco zamożnego, któryby pewnej liczby podobnych nie utrzymywał. Tworzyli oni pewną klientelę większych panów i nie mogąc już im służyć, towarzyszyli im na wyprawach łowieckich i we wszelkich hulankach, dopomagając im czas zabijać. Różne koleje zmniejszyły znacznie ich liczbę, a ci, co potem jeszcze pozostali przy dworach panów, byli to albo ludzie kalectwem dotknięci, albo też próżniacy z powołania, którzy nie umieli czuć poniżenia, jakie splywa na tego, kto z obcej łaski żyje.

W pierwszych zaraz chwilach pobytu mego

w Polsce uderzyła mnie wystawność pożycia i zbytki panów polskich. Nie była to owa wykwinność w potrawach, napojach i w sprzętach domowych, jaka odznaczała zbytkowne życie Francuzów, lecz zależała głównie na wielkiej liczbie służących różnego rodzaju, na występowaniu z paradami ekwipażu i liczną a bogatą liberyą i nadewszystko na tej nieograniczonej gościnności i hojności w częstowaniu się nawzajem i w wyprawianiu Liesiad, która w Polsce najpospolitszą podobno przyczyną upadku majątków była.

Gdy sobie dzisiaj przypominam dwór kasztelana i porównywał go z tem, co i u najbogatszych panów widzieć można, utwierdzam się w przekonaniu, że postęp prawdziwej oświaty i bogactw znamionuje się zmniejszeniem zbytków samej próżności, a żadnym nawet przyjemnościom pożycia niedogadzających i że wystawność ustępuje miejsca prawdziwym ulepszeniom wygod i dogodności pożycia, że ludzie uczą się więcej używać sami dostatków, niż dziwić obcych powierzchownym bogactw pozorem.

Wszakże to mój kasztelan, który nigdy za bardzo bogatego nie uchodził i niedługo wytrwał w zbytkownem życiu, miał w czasie pobytu mego w jego domu dwór liczniejszy i świetniejszy od wielu panujących, a następnie medyatywanych książąt

niemieckich. Prócz rezydentów do zabawy, plenipotentów i ekonomicznych oficjalistów do interesów, marszałków do rządu domu, było jeszcze mnóstwo sług, to pani, to panu, to nakoniec ulubionym przez nich zwierzętom usługujących. Było dwóch kamerdynerów, jeden czeszący i pudrujący pana co rano, a skubiący go przez dzień cały przy każdym drobnym wydatku lub przy podaniu pieniędzy do czynienia wydatków, bo on był zarazem przybocznym kasyerem jegomości, którego funkcją było dostarczać do kieszeni pana złotych holenderskich dukatów i podawać mu rachunki z pobranych i wydanych pieniędzy od plenipotentów i komisarzy, rachunków nigdy nie przeglądanych i zawsze ostatecznie przez samego kamerdynera przy próbowaniu żelazka do przypiekania papilotów palonych.

Drugi kamerdyner, wyłącznie do usług pani przeznaczony, żył zawsze w złem porozumieniu z pierwszym, bo nie miał równej, jak on sposobności zawiadywania kasą pańską. Miał on obowiązek fryzowania pani, odbywania poselstw ważniejszych z listami lub bez listów, podawania pani potraw i napojów przy stole, ale samej tylko pani wyłącznie, i zawiadywania naczelnie wszystkiem podczas podróży, w której koniecznie pani towarzyszyć musiał. Każda podróż i zmiana czciciela była najpożądanymi wy-

padkami dla pana kamerdynera jejmości; dlatego był zwykle bardzo złego humoru, gdy pani długo siedziała, i kwaśno traktował tych, co zbyt byli stałymi w hołdach onejże składanych.

Po tych dwóch ważnych, największy przystęp do państwa mających figurach, znamienite były funkcje koniuszego i łowczego, bo obie tyczyły się zabawy i nawet pod pewnym względem reputacji i dobrej sławy pana. Nie o to bowiem tylko szło, aby mieć dobre konie, zręcznych i trzeźwych stajennych i zwierzynę na potrzebę kuchni pańskiej, lecz o to głównie, aby słynąć z pięknych i dzielnych koni i psów, ze sławnych woźniców, masztalerzy i strzelców. Mniejsza o to, że konie zjadały więcej owsa i siana, niż dobra ich dostarczać mogły, i że cała służba stajenna więcej karczmy niż stajni pilnowała, byleby w każdym razie wystąpienia poszóstny zaprząg dzielnością koni i świetnością uprzęży i liberyi patrzących zadziwiał, byleby masztelerz umiał zręcznie wyprowadzić i ustawić konia, dosiąść go dziarsko i śmiało na nim przez drąg, rów lub płot przesadzić. Mniejsza o to, że psiarnia więcej zjadała niż dziesięć familij chłopskich i że strzelcy zamiast w kniei, po okolicznych wioskach i po szynkach żydowskich w miasteczkach przesiadywali, obchodząc pogrzeby ubitej zwierzyny wódką za nią otrzymaną;

byleby były między kundlami, ogarami i chartami psy sławne z osadzenia dzika, z wytropienia i trzymania przez dzień cały lisa lub sarny, albo z porwania bez obrotu zająca nieboraka; byleby myśliwym był taki, co każdego wilka wyszlakować potrafi i w wilię powie, ile ich nazajutrz w kniei znajdować się będzie, lub taki, co sam zawsze trafnie strzelając, obcemu strzelcowi w swojej kniei i razu dobrze strzelić nie dozwoli; byleby wszyscy bez zająknienia kłamać i o obfitości zwierzyny w lasach pańskich, o zręczności pana, pod zaklęciem świadczyć umieli.

Ta, jakkolwiek liczna chałastra, pod zwierzchnictwem pana łowczego zostająca, zbyt gorliwie służyła zwierzętom, aby się kiedykolwiek usługą pańską zajmować miała. Do tych usług przeznaczonymi byli lokaje, strzelcy, hajducy, kozacy, huzary i laufry, których wszystkich po parę egzemplarzy u mego kasztelana widziałem. Cała ta przedpokojowa gawiedź, dumna z błyszczącego się i różnobarwnego stroju swego, przerażała zuchwałością wszystkich tych, co nie należeli do poufałego towarzystwa państwa, lub nie byli, podług ich sposobu mówienia, panami z panów. Byli to istni reprezentanci próżności i próżniactwa, gotowi na każde skinienie pana dopuścić się wszelkich bezprawiów i odbyć krwawe walki za ho-

nor domu w razie, gdyby im mniejszych panów słu-
dzy pierwszeństwa ustąpić nie chcieli.

Później nie widziałem już w Polsce niektórych oddzielnych rodzajów służalców, jako to: tak nazwanych kozaków, zwykle z miejscowych chłopców w niedostatku Ukraińców, w suknie do kozackich podobne przebieranych, a używanych do posyłek i do innych drobniejszych posług zapokojowych; huzarów oznaczających się wysokim wzrostem, a używanych do towarzyszenia konno przy pojazdach w uroczystych wystąpieniach panów i węgierskim strojem przybranych, a nawet uzbrojonych, tudzież laufrów z kołpakiem, ze strusiami piórami na głowie i z małą laseczką w ręku, w trzewikach i pończochach przed poszóstnym pojazdem biegających.

Dodawszy do tego wszystkiego służbę kuchenną, piwniczną i ogrodową, można sobie dopiero wyobrazić, iluż to każdy pan polski żywił i odziewał ludzi, równym ciężarem dla niego, jak i dla kraju będących.

Patrząc na tych wszystkich ludzi, uwijających się koło kasztelana, zdawało mi się, że on ich zaprzął do wozu życia swego, aby go prędzej do przepaści niedostatku wciągnęli.

ROZDZIAŁ IV.

Polacy i Prusacy.

Od owej szczęśliwie odbytej próby zdolności moich postąpiłem odrazu bardzo wysoko w znaczeniu mojem na dworze kasztelana, poczytano mnie bowiem za człowieka, którego, pomimo różnicy stanu, można było przypuścić do zażyłego towarzystwa państwa, a to mi zjednało uszanowanie od sług i dworskich, i to tak dalece, iż nie śmieli w obecności mojej nazywać mnie poprostu „Francuzem“, co uchodziło za pewien rodzaj pogardzającego przydomku.

Mówią, że ludzie i całe narody równe, a przynajmniej podobne sobie mają przymioty i wady; zdaje mi się jednak, że samolubstwo, które każe wywyższać siebie z poniżenia innych, w wyższym stopniu wadą jest narodów niż pojedynczych ludzi. Rzadko się znajdzie tak zarozumiały człowiek, któryby

siebie samego wyżej nad wszystkich innych ludzi cenił i dlatego wszystkimi pogardzał; gdy przeciwnie, każdy niemal naród tą wadą do najwyższego stopnia jest przejęty.

Polacy nie tylko, że bardziej od innych ludów ulegają tej słabości, ale mają jeszcze oddzielny i zupełnie oryginalny sposób okazywania tej dumy narodowej i poniżania cudzoziemców. Umieją oni, nie mówiąc nic o sobie samych i nie ganiąc cudzoziemców, jednym wyrazem z pewnym im właściwym tonem wyrzeczonem, tych poniżać, aby się wywyższać. A tym wyrazem jest samo tylko wymówienie nazwiska ludu, do którego wspomniony cudzoziemiec należy, ale to z pewnym przyciskiem i wyrazem twarzy, co więcej niż wiele słów od razu opisuje tak dalece, iż w wielu razach, kiedy Polak powie: Niemiec, Francuz, Włoch i t. p., może to uchodzić za szyderstwo lub za urazę.

To dostrzeżenie przez ciąg długoletniego pobytu mego w Polsce w przekonanie zamienione, uczyniłem po raz pierwszy na pani kasztelanowej, gdy się trafiła wizyta jakiegoś, dosyć nawet znakomitego urzędnika pruskiego.

Nie wiem, jaka czynność urzędowa sprowadziła do domu naszego jakiegoś „rata“ pruskiego. Było to po obiedzie; domownicy i goście bawili się ogólną

rozmową, a kasztelan grał w bilard z jednym z obecnych, gdy służący oznajmił przybycie owego urzędnika. To oznajmienie nie uczyniło na nikim żadnego wrażenia, nikt się nie ruszył z miejsca, a gdy pan radca wszedł do pokoju, mój kasztelan, zwykle tak uprzejmy i sprzedający dla gości, ani się ruszył z miejsca i trzymając kij bilardowy oparty na ramieniu, nie odwrócił nawet oka od bili przeciwnika, której bieg śledził i zimno wyrzekł zwykle powitanie: *wie gehts?* skłaniając nieco głową w inną stronę obróconą, niż ta, od której nieproszony gość przybywał. Po niskich ukłonach i po pełnem uszanowaniu przemówieniu do gospodarza, przeszedł obcy do drugiego pokoju, aby gospodynię domu powitać i zimniejsze jeszcze skinienie, z dodatkiem delikatnie szydzącego uśmiechu, na swoje przemówienie w odpowiedzi odebrać. Widocznie zmieszany i z natury, ile się zdawało, niezgrabny Prusak, stał chwilę w milczeniu, aż mu służący na znak pani, krzesło przystawił, i był nader szczęśliwy, że sąsiad, na którego natrafił, po niemiecku z nim mówić zaczął.

Żał mi się zrobiło nieboraka, a chcąc powziąć bliższą o nim wiadomość, zapytałem się kasztelanej, kimby był? — To „niemiec,“ — odpowiedziała mi obojętnie, a przytem jej usta, wdzięku pełne, skrzy-

wiły się, jak kiedy co jakiś niesmak lub obrzydzenie w nas wzbudza.

— Tego się domyślam po mowie — odrzekłem kasztelanowej — lecz chciałem się dowiedzieć, czy to jest przyjaciel domu państwa lub też urzędnik jaki.

— Urzędnikiem być musi zapewne, ale przyjacielem domu naszego Niemiec być nie może.

Odważyłem się wynurzyć zadziwienie moje z tego powodu i zacząć delikatnie o narodowy przesąd o Niemcach, co dało powód do długiej dysertacji, w której kasztelanowa swoje lekceważenie i poniżanie Niemców następującym sposobem usprawiedliwiała:

— Polacy mieli dawno Niemców w swym kraju, ale zatrudnionych rzemiosłami, handlem lub też wysługami po dworach, którym, gdy szlachcic za towar, za robotę lub za usługę płacił, zdawało mu się, iż nabywał za jedne pieniądze prawa naigrawania się z nich. Gdyśmy się pod panowanie Niemców dostali, nie mogliśmy się w żaden sposób oswoić z tem położeniem. Za tem poszło, że do niechęci, jaką w nas wzbudzali Prusacy, dołączyło się uczucie lekceważenia. Dzisiaj przyzwyczailiśmy się już więcej do nich i znosimy ich dlatego, że są pokorni.

Rzekłszy to do mnie, obróciła się do Prusaka i zapytała go: *Nicht wahr Herr Regierungsrath?*

Ucieszony urzędnik zerwał się z krzesła i odpowiedział, że lubo nie wie, do czego się to zapytanie ma ścierać, z góry przyznaje słuszość pani kasztelanowej.

— Ja mówię—dodała ta dalej łamaną niemczyzną, którą w potrzebie polskimi wyrazami dopełniała — żeście wy się już bardzo ucywilizowali między nami, wy, panowie Prusacy, i żeście się już daleko znośniejszymi dla nas stali niż w początku.

— Staramy się przynajmniej o to—rzekł nader uprzejmie Prusak—abyśmy się paniom podobać mogli.

— O! w tym względzie daremne będą panów starania. Ale przyznaj acan, że ci wasi urzędnicy, co to pierwsi do nas przybyli, to były ciekawe figury.

Zamiast odpowiedzi, uśmiechnął się urzędnik słodko i skłonił lekko głowę na znak potakiwania.

— Pamiętasz acan tego burmistrza, co to z kijkiem w rękę i tłumoczką na plecach przywędrował do Warszawy, a ztamtąd chłopską podwodą do naszego miasta zesłany został; jaki on był przedni! Widzę go jeszcze wystrojonego w długi cynamonowy frak z dużymi, białymi guzikami, jak przybył do nas na galę i jak spojony przez mego męża, tańczył do upadłego.

— Tak—odrzekł Prusak—to przyznaję, że pa-

nowie polscy niewymuszoną grzecnością doprowadzają nas do tego, iż rozum tracimy i że się na śmieszność narażamy.

— To mi przypomina — odezwał się sąsiad Prusaka dobrą niemczyzną — zdarzenie, a raczej figiel bardzo śmieszny, którego byłem świadkiem w Bydgoszczy, na samym początku zaprowadzenia w tem mieście pruskiego rządu. Znany nam wszystkim starosta Z... człowiek powszechnie kochany, największą popularność mający, superarbiter we wszystkich kompromisach ziemi swojej, gościnny z całym wylaniem serca, a tem samem częstujący w domu swoim i częstowany, gdziekolwiek się wraz z gronem przyjaciół swoich znajdował, był on właśnie w Bydgoszczy w dzień instalacji regencyi tamecznej; liczna drużyna przyjaciół zebrała się w jego domu i gdy przy gęstych kieliszkach zaczęto ubolewać nad losem nieszczęśliwej ojczyzny, wspomniał ktoś, że tej właśnie chwili odbywa się pierwsze uroczyste posiedzenie regencyi pruskiej. „Wiedziecie co — ozwał się starosta — pójdźmy do nich, trzeba się z nimi zapoznać, kiedy nami rządzić mają.“ Co starosta wnosił, to było świętem dla jego przyjaciół: ruszyli wszyscy naprzód do miasta, jakby na jakiś uroczysty obchód, poprzedzeni muzyką, za którą postępowało dwóch służących z kosztami wina i tak przeszedłszy wśród dnia

kilka ulic, stanęli przed domem, w którym zgromadzeni urzędnicy pruscy solenne posiedzenie odbywali, z zamiarem zdobycia tego przybytku sprawiedliwości wstępny bojem lub przez kapitulację. Starosta wysłał najprzód parlamentarza do prezydenta regencyi, iż pragnie się z nim widzieć i że go prosi o niezwłoczną audyencyę w samej sali posiedzeń. Zdziwieni urzędnicy pruscy takim żądaniem i widząc oknami podochoconych ludzi, kosze z winem, grającą muzykę, odmówili im nader grzecznie przystępu do sali sesyjnej, oświadczając, że bardzo żałują, iż urzędowe ich zatrudnienia i sama powaga miejsca posiedzeń nie pozwalają im przyjmować gości, ani przerywać działań swoich, a dla zabezpieczenia się od tak nadzwyczajnej wizyty, po wyjściu parlamentarza, dom na klucz zamknąć kazali.

Ale starosta nie był to człowiek, co łatwo odraz powziętego zamiaru odstępował, a nie chcąc przedłużać oblężenia zamkniętego domu, wysłał tyłami drugiego parlamentarza z oświadczeniem, że jeśli natychmiast wpuszczony nie zostanie, natenczas drzwi wybić każe i wstępny bojem do sali wkroczy.

Trudna była rada dla oblężonych Prusaków; kapitulowali pod warunkiem, że tylko sam starosta wejdzie do sali dla oświadczenia im życzeń swoich. „Czy sam, czy nie sam, byleby tylko drzwi otwo-

rzyli," rzekł starosta i udał się niebawem do drzwi, dla niego tylko otworzonych, którymi się za nim i wszyscy towarzysze jego i służący z koszami wina i muzykami wtoczyli. Raz będąc panem zdobytej cytadeli, zawarł wszystkie wyjścia i oświadczył przerażonym członkom regencji w sposób najuprzejmiejszy, iż przybywa zrobić z nimi znajomość; wziął się niebawem do broni, to jest do kielicha, i przy odgłosie klarynetów tyle w niespełna dwóch godzinach dokazał, iż prezydent i wszyscy radcy potracili głowy do rady.

Ubawiła mnie serdecznie ta powieść, zwłaszcza, że obecny urzędnik pruski przyznał, iż nie była zmyśloną, gdyż on sam należał do liczby owych pokonanych, którzy niegdyś w Bydgoszczy radzili. Długo jeszcze rozmawiano o stosunkach towarzyskich Prusaków z Polakami, a to z taką otwartością i z taką bezwzględnością, jakby pomieniony urzędnik nie należał do tych, co lekceważenia i żartów przedmiotem byli. W końcu przybył kasztelan do naszego pokoju i stawając w obronie Prusaków, na dowód przychylności swojej ku nim kazał przynieść wina i wypił za ich zdrowie, za co mu skromny urzędnik wnieśieniem zdrowia Polaków odpowiedział; następnie spełniono kielich z jednej strony za zdrowie króla, z drugiej gospodarza domu; z tamtej prezydenta, z tej pa-

ni kasztelanowej; a ponieważ ten sposób oświadczenia sobie grzeczności, to, co ubywało w butelkach, do głowy pijących, a zwłaszcza też umiarkowanego Prusaka przenosił, skończyło się na tem, że on, nie rozpoczynszy wcale czynności, dla której do domu kasztelaństwa przybył, do miasta, z którego przyjechał, powrócił.

Te i tym podobne wypadki, jako i cały sposób postępowania Polaków i Prusaków, jednych względem drugich, nastęrczały mi obszerny przedmiot do rozmyślenia nad słabościami ludzkiemi i nad dziwnymi nieraz pobudkami, które pojedyncze osoby i całe narody do postępowania skłaniają.

Zdarzało się to już nieraz na świecie, że lud oświecony, ulegający przemocy dzikich, a przynajmniej mniej okrzęsanych zdobywców, znosił ze szlachetną pogardą dumę najeźdźników i urągał się z jarzma, które na niego wtłaczali. Ale to się podobno nie zdarzyło nigdy, aby naród oświeceńszy i zamożniejszy we wszelkie zapasy płodów umysłowych, któremu i materyalne bogactwo i moralna wartość niezaprzeczoną wyższość jednały, ulegał rzeczywiście czy pozornie, moralnej przemocy podbitego ludu i znosił od niego różnego rodzaju poniżenia, mając po sobie i władzę rządu i przewagę oświecenia. Tak było

jednakże w prowincjach polskich pod panowanie pruskie przeszłych.

Długo się zastanawiałem nad przyczyną tej anomalii i znalazłem ją w owej słabości, której często-kroć i najrozsądniejszy człowiek ulega, to jest w przywiązywaniu wyobrażenia wyższości i świetności do powierzchownych mamideł, któremi bogactwo i zbytek najpolitszych ludzi otacza. Prusacy z pomiędzy oszczędnych i rządnych ziomków swoich przeniesieni do kraju, w którym każdy niemal szlachcic równie wystawne prowadził życie, jak książęta i magnaci niemieccy, odurzeni zostali tym łudzącym pozorem bogactwa i zbytku, i nie mogli się odważyć rozkazywać tym, którym istotnie rozkazywać mogli. Przewaga ich, na władzy rządowej oparta, była za słaba do pokonania władzy opinii. Owi istotni panowie nieszczęśliwego kraju zostawali pod urokiem powierzchownej wyższości panów polskich i zamiast odbierania, oddawali pokłony, zamiast poniżania wejrzeniem lub wyrazem, starali się o uprzejmy wyraz lub wejrzenie, zamiast rozkazywania bezwzględnego, przepaszali, gdy im rozkazy wydawać przychodziło.

Ale za to, gdy minęło pierwsze omamienie, gdy się przekonali, iż wystawność i zbytki, nie zawsze były oznaką i skutkiem bogactwa, gdy poznali zgubną skłonność Polaków do rozrzutności, zajęła obłudna

układność miejsce dawnej pokory; powierzchowne oznaki uszanowania były pokrywką urągania z łatwości i ze słabości Polaków, a pozorne przyznawanie im wyższości gorzkim szyderstwem podstępnego nieprzyjaciela, co sidła na przeciwnika zastawił i cieszy się, widząc, iż ten w nie wpada. Ta sama skłonność do zbytków i wystawnego życia, która z początku mamiła Prusaków, stała się później w ich ręku narzędziem zguby Polaków, gdyż skoro poznali, iż wszyscy więcej pragną uchodzić za panów, niż nimi być mogli w istocie, dostarczali im pieniędzy, aby ich prędzej na nędzarzy zmienić i potem się z ich niedoli uragać.

Przypatrzyłem się zblizka tym przeobrażeniom towarzyskim ludzi, do dwóch nieprzyjaznych sobie narodów należących; szydziłem z początku z lekko-myślnymi Polakami z drobiazgowej oszczędności i z niezgrabnego obejścia urzędników pruskich i ubolewałem później z rozsądnymi nad tem, że Polacy nie umieli ocenić właściwego powołania swego w czasie politycznego letargu narodu.

ROZDZIAŁ V.

Karnawał w Toruniu.

Od kilku miesięcy już bawiłem w Polsce i lubo jeździłem dosyć często w różne, odległe nawet okolice, lubo znaczną przestrzeń kraju przebyłem, udając się w miejsce mego przeznaczenia, nie znałem jeszcze żadnego miasta polskiego. Nie mogłem bowiem zrazu przystać na to, aby dać to nazwisko żydowskim osadom, złożonym z kilkudziesięciu drewnianych domów, na błotnistej powierzchni wzniesionych, w których nieliczni chrześciance byli rolnikami, nie różniącymi się niczem od chłopów, a wszyscy żydzi handlarzami, oszukiwaniem szlachty i rozpajaniem włościan zajęci, u których cały przemysł rękodzielny kończył się na szyciu butów i sukman dla żywych i na robieniu trumien dla umarłych, a handel prowadził się za pomocą nowego wcale pośrednika zamiany, to

jest wódki, za którą żydzi wszelkie ze wsi sprowadzane produkta kupowali i którą od właścicieli wsi wzamian za swoje łokciowe lub korzenne towary przyjmowali.

Później przyzwyczałem się do tego nowego i dziwnego wyobrażenia, do nazwiska miasta przywiązywanego, i nie upatrywałem nic w tem opacz nego, że ludzie porządni jeździli na jarmarki do tak zwanych miast kupować lub sprzedawać woły, krowy, konie i inne domowe zwierzęta, że damy, unosząc suknie, wchodziły do ciemnych i brudnych kramów kupować wstążki i że obywatele z całej okolicy zjeżdżali się podczas karnawału do takich miast i czasem kilka tygodni w najweselszych zabawach przepędzali, pomimo, że mieszkać musieli w chatach źle opatrzonych i z wielkim mozołem ledwo co oczyszczonych po izraelskich mieszkańcach, że damy albo na plecach lokajów, albo w pojazdach, z trudnością z błota dźwiganych, wizyty oddawały i na bale uczęszczały i że sale, w których się te zabawy odbywały, albo nie mogły pomieścić gości, albo też były tak źle opatrzone na zimę, iż taniec i wino dodawały goszczącemu tego ciepła, którego pokoje szczydziły.

W naszej okolicy było wszelakoż miasto godne tego nazwania, które mi przytaczano na odparcie moich zarzutów, miastom polskim czynionych, i które

w samej istocie mogło pokonać uprzedzenie moje, gdybym mógł być przyznać, że Toruń rzeczywiście polskiem jest miastem i że tylko pod władzą dawnego rządu polskiego zostawał, ale przez Polaków był założony i podług praw polskich rządzony.

Przyjemnie zdziwiony zostałem widokiem tego starożytnego miasta, które, jakkolwiek po większej części przez Niemców zamieszkane, z powodu wielu historycznych pamiątek i ducha jego mieszkańców, rzeczywiście polskiej osady nosiło znamiona. Robotnicza klasa ludności była polską, a dawne mieszczańskie familie, lubo niemieckie, bardziej przychylnie Polakom, niż nowym panom swoim z jednego z nimi szczepu pochodzącym.

Prócz tradycyjnych podań o dawnym znaczeniu magistratu i o powadze mieszczańskich toruńskich, to jeszcze rodziło ich przychylność ku Polakom, że handel podstawą ich dobrego bytu będący, polegał na zbożu Wisłą spławianem, lub z żyznych okolic na wsi sprowadzanem i na sprzedaży towarów do codziennych potrzeb, na które kupcy toruńscy znaczny odbyt u panów polskich znajdowali. Z pomocą tego prawdziwie zamiennego handlu zawiązały się były oddawna stosunki poufałości i przyjaźni między kupcami a właścicielami dóbr o mil kilka wkoło Torunia położonych. Każdy z nich miał swego kupca

przyjaciela, który mu w razie potrzeby towarów i pieniędzy dostarczał i który od niego ziemiopłody zakupował. Był to stosunek obopólnej dogodności, który rodził przychylność wzajemną, od pojedynczych osób ze strony kupców na naród polski, ze strony właścicieli dóbr na miasto Toruń przenoszoną. To miasto było dla tych dobrem miastem, a kraj polski dla tamtych ukochanym krajem. Szlachcic polski poczytywał wprawdzie mieszczanina toruńskiego za niższego od siebie w znaczeniu światowem, ale miał dla niego poważanie, jakie zawsze zamożność i przewaga pieniężna wzbudzają, i wchodził z czasem w przyjacielskie stosunki z tym, którego rzetelności i uczciwości doświadczał. Każdy z nich miał swego ulubieńca, do którego nazwiska zdrobniale wymawianego, zwykle *mój* dołączał, a znakomitsi kupcy zbożowi Torunia mogli uchodzić za pieniężnych mecenasów, znakomitszych od siebie klejnotów, których się zażyłością zaszczycali, z których ciągnęli godziwe i żadnym podstępem nieskażone zyski i których szacunek dlatego posiadali, że ich nie obrażali najnieznośniejszą dumą, jaką wzbudzają pieniądze w dorobkowych panach.

Oddawna było zwyczajem obywateli z okolic Torunia zjeżdżania się do tego miasta pod pozorem sprzedania zboża lub kupienia towarów na domową potrzebę, chociażby jedno i drugie przez służących

załatwione być mogło. To upodobanie pochodziło ze sposobności widywania i częstowania się nawzajem ze znajomymi. Zwykle się zaczynało od gościnnego przyjęcia w domu ulubionego kupca, który pierwszy zawsze wystawiał jedną i drugą butelkę dobrego wina; po tem pierwszym zaochoceniu trzeba było odczęstować gościnnego kupca, a gdy się kilku znajomych obywateli zebrało, kończyło się zwykle na tem, że wszyscy podochoceni wyjeżdżali z miasta i że każdy albo uszczuplił zasilek pieniężny do domu wzięziony, albo dodał kilka cyfr na stronicy *debet* w księdze kupca, u którego miał kredyt otwarty.

Był przeto powszechny pociąg do ulubionego miasta, który od ojców familii przeszedł do matek, żon i córek, skoro jedne i drugie zapusty, na wesołych zabawach i wzajemnych zalotach młodzieży spędzone, miłe wspomnienia w płci pięknej zostawiły. Tym sposobem stał się Toruń miejscem zbierania się familij polskich w okolicach osiadłych, zwłaszcza w czasie słoł i zabaw zimowych. Do okolicznych gości przyłączali się obywatele, mianowicie młodzi, z dalszych stron kraju, przynęceni bądź to wiadomością o wesołych zabawach tamecznych, bądź nadzieją wydania córek za mąż, albo znalezienia poważnych żon dla siebie lub synów swoich. Tych zaś uczęszcza nie do Torunia wabiło na tameczne zabawy bądź to

piękności słynne z wdzięków swoich, a lubiące widzieć przy sobie wielu czcicieli, bądź wdowy, więcej z majątków, niż z powabów zajmujące, które już odpląkały nieodżałowaną stratę małżonków swoich. Pamiętam jeden taki karnawał w tem mieście, na którym trzy córki znakomitego obywatela, zalecające się zarazem dobrem wychowaniem, wdziękami i majątkiem, były przedmiotem powszechnego uwielbienia, mnóstwo młodzieży z dalekich okolic do Torunia znechęciły i wszystkie trzy w ciągu tych zapust mężów znalazły.

Podczas karnawału przybierał Toruń nadzwyczajną świetność. Towarzystwo pruskie, głównie z oficerów garnizonu i urzędników złożone, które przez rok cały panowało w tem mieście, ustępowało w tym czasie pierwszeństwa towarzystwu polskiemu, z różnych okolic przybyłemu. Zabawy pierwszego były skromne, ciche, po większej części w zebraniach rodzinnych lub w resursie odbywane; polskie wystawne, huczne, po całym mieście widoczne, zwłaszcza też na redutach, w tym czasie na cały karnawał otwieranych. Panowie ówcześni kraju polskiego schodzili się pieszo na wieczorki swoje, pijali na nich ciekawą kawę, herbatę i czasem, lecz bardzo rzadko, kieliszek wina słodkiego do ciastek, przez skrzętną gospodynię w domu pieczonych. Ówcześni Polacy częstowali

hojnie damy w zgromadzeniach swoich cukrami i słodkimi chłodnikami, a sami wypijali przysposobione zapasy win wszelkich. Na pruskich zgromadzeniach mówiły kobiety z podziwieniem o zbytkach polskich i udzielały sobie, jako ciekawość, plotek o polskim towarzystwie zdaleka słyszanych, gdzie niejedna zaszła miłosna intryga, jakby na podziwienie Niemek zawiązana. Tam przemagała w zgromadzeniach liczba nie pierwszej młodości kobiet, a żon panów poruczników, kapitanów i majorów poważną siwizną krytych, tu hoża młodzież, wabne panny, zalotne wdówki i czasem męzatkki młodość, życie swoje, na całe towarzystwo przelewały. Prusacy zasiadali poważnie do lombra, wista i w ogromne karty grywanego taroka, i w milczeniu, z wielkiem zajęciem o szóstaczki i srebrniki, długą przy łożowych świecach toczyli rozprawę; Polacy otaczali gromadnie ogromny stół zielony, na którym stosy złota, przed bankierami ustawione, wabiły do gry namiętnych faraona zwolenników.

Zdarzyła mi się sposobność porównania z sobą tych dwóch tak odmiennych towarzystw, gdyż jednego wieczora byłem kolejno na zgromadzeniach jednego i drugiego.

Pani kasztelanowa bywała w domach i odbierała wizyty pierwszych urzędników pruskich, bo jako do rządu magnatów należąca, miała przywiązany do

tego obowiązek udawać uprzejmą względem tych, co jeśli nie lekceważenia, to oziębłości jej byli przedmiotem.

Z tego powodu zaprosiła ją żona generała komendanta miasta Torunia na wielki wieczór, z powodu obchodu uroczystego urodzin męża wyprawiony.

— Pójdiesz WPan ze mną—rzekła do mnie po odebraniu tych zaprosin— bo to będzie bardzo ciekawe do widzenia, zwłaszcza, że oprócz mnie i jednej przyjaciółki mojej, nikt więcej z naszego towarzystwa nie będzie.

Zebrawszy całą usilność największego pośpiechu, aby na godzinę naznaczoną stawić się u pani generałowej, była kasztelanowa ubrana na godzinę siódmą i wkrótce stanęliśmy przed mieszkaniem generała, gdzie na podziwisko wszystkich sąsiadów, dwie lampy przed bramą, pierwsze znamię wielkiej uroczystości, jaśniały.

Wchodzących na schody uderzył nas blask wielkiego światła; było to przezrocze nadedrzwiemi wchodowemi do mieszkania, przedstawiające cyfrę solenizanta wieńcem z mchu, z igieł i szyszek sośniny otoczoną. Za otwarzeniem drzwi dała się słyszeć pieszczona melodia powolnego walca, na kilku dętych instrumentach odgrywana, nic hucznego, nic skoczne-

go nie oznaczająca. Z ledwo co oświetlonego przedpokoju widać było drzwiami otwartymi po lewej stronie stół filizankami, imbryczkami, koszykami z owocami i kilku talerzami z ciastami pokryty, który skrętna gospodyni domu żywo opuściła, aby wybiedz na przeciw niezwyčajnym gościom i łamaną francuszczyzną damy moje i mnie samego powitać i do drugiego pokoju na prawo nas wprowadzić.

Kilkanaście poważnych matron, podobnie do ustawionych woskowych figur ściany zdobiących, powstało razem z miejsca i kolejno, za przejściem kasztelanowej, dygiem, uśmiechem i skinieniem głowy uprzejmie ją witało. Zatrzymał się na chwilę z uczuciem wkoło toczony szlejfer i muzyka nienaznaczoną w nutach uczyniła pauzę, a w trzecim pokoju runęły krzesła u stolika od kart, bo równie uprzejmy jak gruby generał komendant powstał z miejsca i za pomocą kija z jednej, a pięknej swej córki z drugiej strony, wytoczył się do sali balowej, aby kasztelanową powitać i najserdeczniej jej dziękować za życzliwość jej z powodu tych urodzin, o których ona ani myślała. Po krótkiej chwili wróciło wszystko do dawnego porządku: stary komendant, po wielkich przeprosinach do przerwanego lombra, matrony do pończoszki z pewnym wdziękiem dzierzganej, tańczący do powolnych obrotów swoich, a ja do zwyczajnej

roli uważającego cudzoziemca, którego wszystko bawi, cokolwiek jest odmiennem od obyczajów kraju jego.

I w samej istocie, dziwnem mi się zdawać musiało to tak powolne i rozmyślające używanie zabawy najpospolitszej, że poglądając na bawiących się, zdaje ci się, iż rozbierają szczegóły przyjemności, jakie im zabawa ma sprawić, i że się obawiają, aby jakiej części doznanej pociechy skutkiem pośpiechu nie utracili, kiedy Francuzi, a bardziej jeszcze Polacy, oddają się bez namysłu rozkoszom i z pewnym zapalem poświęcenia zabawie, zdają się jeszcze gonić za nią ustawicznie, trzymać namiętność schwytaną, jakby się obawiali, aby ich nie odbiegła, z ich rąk się nie wyrwała: tamci zawsze są trzeźwi, ci zawsze upojeni wśród rozkoszy; tych zachwyca wrażenie ogółu, zbiór tłumnie doznanych uczuć, tamtych zajmują szczegóły i drobiazgowo wrażenia uciech kolejno doznawanych.

Te dostrzeżenia czyniłem, patrząc na tańczących, których miałem przed sobą. Był to prawda dziś już nieznanym tańcem, ów szleifer, o którym wspomniałem, to jest tkliwej melodyi powolny walc, który się zaczyna od powolnego podrygania i rozbujania się par kilkunastu, jak w polonezie za sobą postępujących.

a potem przemieniał się w drobne kółka wolno w jednym kole, jak części maszyny kręcące się. A co to było słodkich uśmiechów i przymileń każdej niemal pary, zwłaszcza gdy oblubieniec z narzeczoną lub nawet mąż z ukochaną małżonką do tego systematycznego zapuszczał się kręcenia. A jaki to był ulubiony taniec, zwłaszcza w towarzystwie, gdzie mało było młodzieży, gdzie z powodu kilkunastu lat pokoju każdy oficer był mężem, ojcem rodziny, a dla nader rzadkich awansów w armii pruskiej, podporucznicy poważną siwizną okryci.

Z tańczących zwróciłem oczy na moje damy, które siedząc między gospodynią domu i wysmukłą a nader wymowną pułkownicową, uśmiechały się niby uprzejmie i wykrzywiały mimowolnie usta za zbliżeniem do nich filiżanki kawy, przez której przezroczyłość kwiatek na dnie naczynia malowany się przebiegał, a której nalegającym prośbom gospodyni odmówić nie można było. Wszystkie inne damy miały na nie oczy zwrócone i, bez zwrócenia uwagi, nad nimi czynione nawzajem sobie spostrzeżeń udzielały. W całym towarzystwie widać było przerwanie poufnej zabawy i rozmowy, bo jedni lękali się być aktorami dla zbyt uszczypliwych widzów, a drugich nudziło zarówno przypatrywać się innym, jak być przedmiotem ich uwagi. Widziałem to po niecierpliwości kasztelano-

wej, po ukrywaniu jej ziewania i po złośliwym uśmiechu jej przyjaciółki; a gdy gospodyni domu opuściła na chwilę salę tańca, aby w kuchni ułożeniu na półmisku butersznitów przewodniczyć, powstała z miejsca kasztelanowa i zamierzała wymknąć się niepostrzeżona z pokoju, lecz baczna na wszelkie jej poruszenia pułkownikowa posunęła się za nią, aby w zastępstwie gospodyni nie dopuścić tak rychłego zniknięcia upragnionych gości, i gdy w samych drzwiach sali balowej ukłonem i prośbą dokazać swego usiłowała, nadeszła żywo z drugiej strony służąca z ogromnym półmiskiem chleba z masłem, cięliną przekładanego, i w gorliwości służby tak mało zważała na dyxy dwóch dam, iż na kasztelanową wpadła i kilkanaście pomazanych kawałków, jakby dla zachęty dłuższego pozostania, na głowy i suknie obu dam zrzuciła, za co postępująca generałowa mocno ją przepraszać i do powrotu na miejsce, choćby dla obtarcia śladów tłustych łakotków na sukni, przymusiła.

Ten przypadek przedłużył nasz pobyt na wielkim obchodzie urodzin, aż do chwili, gdy córki staro komendanta wraz z przybranymi przyjaciółkami, pieśń czułą na cześć ojca przy oddaniu wieńców i bukietów odśpiewały. Generałowa bowiem dwójście, jako żona i matka, tak była rozczulona, a całe

towarzystwo tak zajęte tkliwą familijną sceną, że nikt nie zauważył tym razem szczęśliwie odbytego wy-mknięcia się naszego.

Znudzone, zagniewane z powodu otrzymanych plam sukni, udały się obie damy nasze prosto na re-dutę, aby tam dowolnie szydzić sobie ze zgromadze-nia, które opuszczały, i resztę nocy wesołej poświę-cić zabawie.

Jakże inny był widok samego zajazdu przed dom redutowy! Z kilku dużych okien ogromnej sali biło na ulicę rześiste jej oświetlenie, a przed zajazdem roznosiły cztery kagańce i kilkanaście po-chodni, przez zajeżdżających i odjeżdżających lokajów trzymany, migające światło po bielącej się od śnie-gu przestrzeni i po pojazdach, wśród zgiełku i dymu uwijających się po ulicy. Huczna muzyka w niewy-rażnych tonach dochodziła z sal redutowych i mie-szała się z krzykiem liberyi i ze rzeniem koni. Na schodach mnóstwo lokajów z futrami i płaszczami, to naigrawaniem się z przechodzących gości, to przypa-trywaniem się maskom i wymyślaniem sobie nawza-jem, nudy oczekiwania skracać usiłowało.

Po sali rozlegał się odgłos ulubionego poloneza; kilkadziesiąt par krążyło za sobą żywo, lecz z powa-gą i z niedościgłą rozmaitością wyrazu i postaci tań-cujących. Starsi, zwłaszcza w polskim stroju z pe-

wną przesadą i, że tak rzekę, z przyciskiem, znamię narodowości tańcowi temu nadaję; młodość bez uwagi na taniec, a z żywym zajęciem się tanecznicą; niektórzy z chwiejącą się już głową, równie dla jednego, jak dla drugiej obojętni — ale wszyscy z życiem, z wyrazem wesołości i swobody na twarzach, jakie kilka godzin na miłych zabawach spędzonych dopiero wzbudzają. Weszliśmy przeto jakby w sam odmęt dawno już rozkołysanej uciechy, który porywa z sobą tych, co się do niego dostaną, co iskrę rozkoszy w zimnych przed chwilą roznieca i ślady nieprzyjemnych wrażeń zaciera. Tego wpływu narodowej zabawy doznała kasztelanowa na pierwszym wstępie do rozweselonego koła; tom czytał w jej oczach i w jej szczerym uśmiechu; nie było już ani śladu, ani pamięci wieńców, pieśni, kawy, butersznitów, siwych poruczników i sztywnych matron, ani tego wszystkiego, co przed chwilą znudzenie w niej wzbudzało. Szmer powstał, gdy ją poznano, bo ona była pierwszą damą całego towarzystwa, której żadna inna tego pierwszeństwa nie zaprzeczała, lecz to był szmer uciszenia, którym ją witano, jako upragnioną. Tańczący w pierwszej parze zakończył taniec, przerwały się na chwilę pary, ucichła muzyka, lecz krótko, bo nowy tancerz wystąpił naprzód, zażądał poloneza; dopiero opuszczone połączyły się ręce; z no-

wem życiem zabrzmiała muzyka, zawiązał się taniec i kasztelanowa przewodniczyła ochoczemu kołu, a ten, co ją prowadził, ów zażyły przyjaciel i męża i żony, stał się powiernikiem wszystkich śmieszności, na wieczorze generałowej dostrzeżonych. Po jednym obrocie wysunęło się z drugiej sali grono poważniejszych gości, z kieliszkami w rękach, zastąpiło drogę tańczącym, wniosło zdrowie kasztelanowej, którą osadzono na krześle w środku sali, aby kolejne od wszystkich mężczyzn hołdy spełnieniem kielicha za jej zdrowie odbierała. Przy odgłosie trąb i kotłów musiała przetrwać znużenie tego zaszczytu i dopiero gdy tęskniąca za żywszym tańcem młodzież do skocz nego mazura stanęła, poszła do grona dam i najzażyłszych przyjaciółek odetchnąć i wynurzyć przed niemi uczucia i wrażenia w ciągu wieczora doznane.

Po zajęciu jej i szeptach z kilkoma innymi damami, domyśliłem się, że ma jakieś tajne zamiary sprawienia niespodziewanej przyjemności, czyli tak zwanej siurpryzy towarzystwu. Jakoż po chwili powstała z miejsca; zajęcie się goszczących to tańcem, to kieliszkiem, to żywą rozmową, odwróciło od niej uwagę, tak, że mogła wraz z towarzyszkami swemi zniknąć nieznacznie z sal reutowych. Dopiero, gdy po upływie godziny zgiełk się zrobił przy drzwiach tak, że tańczący i rozmawiający ku nim tłoczyli się

zaczęli, i gdy ujrzano dziewczęć muz wraz z Apolinem wchodzących na salę, zaczęto oglądać się za kasztelanową i domyślano się, że ona przewodnicząca musi ozdobnie maskowanemu gronu i starano się odgadnąć, które z pomiędzy dam towarzystwa do dziewięciu dziewcząt Helikonu należały.

Urozmaicona tym epizodem zabawa nowego nabrała życia; niezadługo muzy raczyły się zbliżyć do śmiertelnych i po odsłonięciu powabnych twarzy, nowego za przewodnictwem swego Apolina rozpocząć poloneza, w którym polskie kontusze z greckimi tunikami, zalotni młodzieńcy z surowymi dziewczycami, długo po sali krążyły, odbierając pochwały otaczającego ich grona, a następnie z poważniejszego tańca do skoczniejszych przeszły, i nie trzymając się już swego grona, każda z wielbicielem swoim, wesołej oddały się zabawie.

Już się ukazywały światła w oknach rano wstających mieszkańców Torunia, już się zabierali do dziennych zatrudnień wczorajsi goście generała komendanta tego miasta, gdy pojazdy z przed sal reduktowych rozjeżdżać się zaczynały, uwożąc wszystkie damy i małą liczbę mężów znużonych towarzyszeniem małżonkom w zabawie lub zmuszonych przez nie do jej opuszczenia. Większa część mężczyzn pozostała bowiem w bufecie i w oddzielnej sali u zie-

lonego stołu: tamci w serdecznem oświadczeniu afektów winem wzbudzonych, ci w gwałtownem wzburzeniu namiętności przez przegraną lub w podsyceciu chciwości wygraną. Dopiero, gdy od kilku już godzin ludność przemysłowa znojną pracą była zajęta, gdy się ulice zapełniały wozami zboża z okolic sprowadzonego i tragarzami przenoszącemi je do spichrzów, gdy ruch handlu ożywiał całe miasto, ujrzano wśród tego zgielku grono biesiadujących, poprzędzone znużonymi i upojonymi muzykantami, wracające z reduty do domów, a odprowadzające kolejno wszystkich uczestników zabawy, a ich pochód wstrzymywał uwijanie się ludzi przemysłowych i raził przeciwieństwem rozpusty i próżniactwa z błogiem zabiegami pracy.

Cały karnawał schodził na takich biesiadach, jedne zabawy łączyły się z drugimi tak, że rzadki był dzień odpoczynku; bo wieczory niezajęte redutami, poświęcone były balikom przez bogatszych obywateli we własnych mieszkaniach dawany, a w ostatni wtorek zakończył karnawał wielki bal kawalerski, który dwa dni do zapust przyczynił.

Po wesołości tych zabaw trudno się było domyślić, że byleś w kraju zajęтым, wszelkiego znaczenia pozbawionym, którego panami byli ci właśnie, którzy w towarzystwie i na zabawach najmniej się

pokazywali. Patrząc się na ówczesnych mieszkańców, zdawało się, że chcieli zapomnieć o swoim położeniu, uniknąć chwil przytomności i rozpamiętywania, że zgiełk i znużenie rozrywek i zabaw miał zastąpić zajęcie się życiem ogólnem i że w winie odzywające się usiłowali topic troski.

Pod tym względem najbardziej mnie dziwiła koterya dobrze wychowanej, wyższego towarzystwa dojrzalszej młodzieży, która się zawsze razem trzymała, po całym niemal kraju za zabawami się ubiegała i przy zachowaniu spokojności i nawet pewnej przystojności towarzyskiej, pijaństwu się oddawała. Na czele tej koteryi był syn jednego wojewody, który za starownem wychowaniem łączył wiele wrodzonych zdolności dowcipu. Przepędziwszy czas nauki we Francyi, wrócił on do kraju jako skromny i słynący z uprzejmości młodzian; lubiony w towarzystwach, których był ozdobą, zapowiadał bardzo znakomitego obywatela. Wypadki krajowe zmieniły jego sposób życia; z umiarkowanego, naukom i ukształconemu towarzyskiemu pożyciu oddanego człowieka, stał się rozpustnikiem, a otoczywszy się gronem licznych przyjaciół, tracił z nimi czas i zdrowie na nieustających hulankach, nigdy jednakże nie wszczynając kłótni, ani niepokojów. Smutno mi nieraz było, gdy mi się zdarzyło zbliżyć się z nim, odgadywać w za-

ćmionych oczach jego ogień życia, jakim nigdy jaśniały, i dosłyszeć w bełkotanej mowie wyrazy, wyższe uczucie i dowcip oznaczające. Był on bożyszczem swoich licznych przyjaciół, a nawet przedmiotem żalu i poważania tych, którzy najmocniej jego rozpustne pożycie potępiali.

ROZDZIAŁ VI.

Tracę miejsce moje.

Pomimo napół duchowną powierzchwość moją, musiałem uczęszczać na wszystkie zabawy karnawałowe, jako mentor mego ucznia, którego, niestety, nigdy tak dobrze upilnować nie mogłem, ażeby się nie miał wmieszać między starszych i albo duszkiem kolejny kielich spełnić, albo też na obraną kartę pieniądze, od rodziców na pióra i papier otrzymane, stawić. Trudno było, aby moje rady i napomnienia skutkowały, gdy mu nawet własny ojciec chwalił to, com ja ganił, zachęcał do tego, com zabraniał, i nieraz musiałem się patrzeć na to, jak go chwalono za gładko spełniony kieliszek, jak ojciec kartę, na którą miał stawiać, jemu wybierać kazał, część wygranej mu darował i stawiać ten datek na kartę pozwalał. Jakkolwiek trudnem było powołanie moje, zdawało mi

się wszelako, że sumienie nakazywało mi czuwać nad powierzonym sobie młodzieńcem i zastąpić przy nim miejsce tych, co tak mało o niego dbali, nie przewidując tego, że ta właśnie niewczesna troskliwość moja stanie się dla mnie przyczyną utraty nader swobodnego sposobu do życia.

Dnia pewnego, uzbroiwszy się w większą niż zwykle odwagę i stałość umysłu, zapowiedziałem memu uczniowi, że mu nie pozwolę pójść wieczorem na redutę, choćby mu rodzice pozwolić mieli. Uśmiechnął się na to szydersko i odwróciwszy się odemnie, poszedł milczący wyglądać za okno i wy-ciskać na zamrożonej szybie talarka, zapewne na stawkę przeznaczonego, aby odmrożonem kółkiem mógł widzieć, co się na ulicy działo. Stały w mojem przedsięwzięciu, nie odstąpiłem go ani kroku i drzwi stancyi naszej na klucz zamknąłem, sam sobie areszt przepisując, aby mego ucznia do pokory i posłuszeństwa przymusić. Spokojnie było i bardzo zgodnie między nami, póki się nie zbliżyła godzina zjeżdżania się gości na redutę; lecz gdy połysk pierwszej pochodni za przejeżdżającym pojazdem przez lokaja trzymanej o nasze obił się okna, zerwał się mój młodzieniec i nic nie mówiąc, zaczął się ubierać, jakby to żadnej wątpliwości nie podlegało, że będzie na dzisiejszej reducie. Wiedząc o tem, jak dalece prze-

strogi i napomnienia mało na nim skutkowały, chciałem także wykonać, com postanowił; wyszedłem milczący z pokoju i drzwi za sobą zamknąwszy, klucz wzięłem do siebie, chcąc udać się do którego z rodziców, aby w wyższej instancyi zatwierdzenie mego wyroku uzyskać.

Ojca nie było w domu, a ponieważ pani kasztelanowa zawsze względnie przyjmowała moje prośby i mniej była dla pasierba pobłażającą od męża, postanowiłam udać się do niej z prośbą poparcia moich zamiarów powagą swoją.

Do mieszkania jej musiałem przebyć i dziedzińiec i następnie schody, na pierwsze piętro prowadzące. Za zamknięciem drzwi siennych od podwórza, usłyszałem lekkie chrząknięcie kobiece u wierzchu schodów; postąpiłem dalej, żadnego do tego nie przywiązując znaczenia. Gdym stanął na ostatnim stopniu na piętrze, uczulem dotknięcie ręki niewieściej, która mnie wyraźnie naprzód prowadziła. Drgnąłem mimowolnie i doznałem wrażenia podobnego do tego, jakie elektryczne uderzenie sprawia, ale stokroć milsze, bo miłem ściśnieniem ręki niewieściej sprawione. Ciemność nie dozwalała poznać przewodniczki mojej; oczywista pomyłka zamieniła mnie w przedmiot jej troskliwej opieki; należało wyprowadzić ją z błędu, ale ciekawość i trudne do opisa-

nia wrażenie, które pomimo drżenia ciała i serca, nie było bez przyjemności, nie dozwalało dopełnić obowiązku sumienia. Szedłem więc, gdzie mnie opiekuńcza prowadziła ręka, milczałem, gdy drzwi otwarła i zatrzymałem się nieco na progu w niepewności, czy go mam przestąpić, gdy towarzyszka moja lekko mnie naprzód popchnęła, sama nie weszła i drzwi za mną na klucz zamknęła.

Zakręcenie klucza w zamku i opuszczenie mnie przy samem wejściu do pokoju, zmieniło odrazu wszelkie wrażenia i uczucia moje. Byłem zdumiony i odurzony, ale nie tak przyjemnie, jak gdy mnie na schodach nieznamą ręką pochwyciła, bom poznał, że się znajdowałem w pokojach pani kasztelanowej.

Drżałem jeszcze i serce mi biło, ale nie z powodu miłego przecucia, lecz z rzeczywistego strachu, bo z ciemnego pokoju, w którym byłem, widziałem słabo oświetlony gabinet kasztelanowej, gdzie się domyślałem, że ona być musi, oczekując pewnie kogo innego, nie biednego pedagoga, co się na swego ucznia uskarżać przychodzi. Stałem jak wryty, nie śmiałem kroku naprzód postąpić, a w niepewności, co mam dalej czynić, byłbym zastukał do drzwi i błagał mojej przewodniczki, aby mnie raczyła tak wyprowadzić, jak mnie nieproszona wprowadziła, gdyby nie obawa, że mnie kasztelanowa prędzej usłyszy

niż ta, której oddalenie się odedrzwi po ich zamknięciu słyszałem.

Nie wiem, jak długobym był stał na miejscu, gdybym z drugiego pokoju nie było zawołano słodkim głosem: *venez donc*. Język, w którym te wyrazy wymówiono, mógł pozwalać domyślać się, że do mnie mówiono, lecz wszystkie poprzedzające okoliczności kazały wątpić o tem... Kazano iść, poszedłem i drżący jak listek, truchlejący jak dzieciak, co po chłostę przed bakałarzem ma stanąć, przestąpiłem próg gabinetu i zostałem w miejscu, czekając na napomnienie, które niewczesne okazanie się moje ściągnąć na mnie musiało.

Kasztelanowa leżała swoim zwyczajem na szesłagu; alabastrowa lampa z rogu pokoju rzucała niepewne światło na pokój. Nie mogła mnie poznać, lecz domyślała się, że jakiś gość nieoczekiwany przestąpił próg tego przybytku elegancyi i podnosząc się, przerażona zapytała, ktoby był?

Trudno się było zaprzec swego nazwiska, a jeszcze trudniej uzbroidć się w odwagę, żeby znieść wyrzuty zuchwałości i nieprzyzwoitości ukazania się mego. Wyjąkałem mój powód mentorowskiej troskliwości, moje prośby o poparcie macierzyńską powagą mojej tak lekceważonej powagi. Na wszystko odebrałem odpowiedź: „jak wćpan śmiałeś“, do której

kuczyłem, a której winę nie wiedzieć dlaczego, na własnem dźwigałem sumieniu.

Stanąwszy u drzwi mego mieszkania, znalazłem je zamknięte, cichość panowała w pokoju; zatłona na stole świeca, dawno nieobjaśniona, mało dawała światła. Łóżko mego ucznia było rozebrane; położył się nieborak, pomyślałem sobie, i we śnie smacznym szuka ukojenia zgryzoty swojej z powodu mimowolnego pozostania w dzień balowy. Leżała istotnie głowa na poduszkach, całkiem prawie kołdrą zasłonią. objaśniwszy świecę, zwróciłem oko na to łóżko i zdziwiłem się, że tak bez żadnego znaku życia spoczywa. Dreszcz mnie przeszedł, myśl okropna powstała we mnie; uniesienie młodości może doprowadzić do jakiej ostateczności; biegnę do łóżka młodzieńca, kładę drżącą rękę na jego głowę i wyciągam z pod kołdry... dwa ręczniki zwinięte w dużą kulę i w nocną czapkę przystrojone! Nie było pana Augusta i naprędce ustrojona lalka zastępowała miejsce jego w łóżku, a on wyskoczył niewysokim oknem na podwórze, o czem mnie ciąg wiatru ze źle przymkniętego okna przekonywał.

Kogo raz gorliwość pedagoga do tego stopnia uniosła, że się poważył zakazane przestąpić progi, ten nie powinien był ustawać w żarliwości, bo się na-

rażał na ciężkie wyrzuty, że gdy niepotrzebnie szukał pomocy, gdzie mu jej szukać nie wypadło, zostawił tymczasem młodzieńca bez dozoru i ułatwił jego ucieczkę. Trzeba więc było spieszyć za nim na reductę, pomimo, że żadnej do tego nie było ochoty. Obwijam się przeto w płaszcz i przeklinając ucznia i siebie samego, wybiegam z domu. Zastaję przed nim karetę pana kasztelana: domyślam się, co to ma znaczyć; pewnie po mnie przysłali, i tak, śpiesznie ze mną jadą.

Zatrzymuje się kareta, ale nie przed domem reductowym; wysiadam, ciemno przed domem i w sieni, a kareta nie czekając dalszych rozkazów, co żywo odjeżdża. Jeszcze się wahałem, co mam czynić, czy wejść do słabo oświetlonej sieni, czy się wrócić, gdy słyszę chrząknięcie we drzwiach w głębi uchylonych, idę nieśmiało naprzód. Otwierają się drzwi przedemną. Ktoś je otworzył, zamknął i został za niemi, a ja stoję niewzruszony i bez żadnej myśli, co dalej czynić wypada. Wkrótce wychodzi z drugiego pokoju piękna dama ze świecą w rękę, zbliża się do mnie uprzejmie, przygląda mi się, wydaje okrzyk, rzuca świecę i ucieka. Świeca zgasła; drzwi od jasnego pokoju zatrzęsnęła, uciekając za sobą, a ja stoję w ciemności i nie mogę nawet trafić do drzwi, któremi dopiero co wszedłem. Przecież słysząc, że się

ktos nademną lituje i że otwiera, aby mnie wypuścić... wchodzę... ale kto? — pan kasztelan.

— A pan tu co robisz? — rzekł do mnie.

— Szukam pana Augusta.

— Cóż onby tu robił?

— Nie wiem, ale mnie tu przywieziono.

— Toś pan wsiadł do mego pojazdu?

— A ja.

— Czegóż pan po nocy jeździsz po świecie?

— Ale ja szukam pana Augusta.

— Nie trzeba go było odstępować, tobyś go pan nie szukał teraz. Tu go pewno nie masz — wróć się pan do domu, a bądź więcej dbałym o młodzieńca sobie powierzonego — bo ja drugi raz za panem piechotą biegać nie będę, kiedy pan za nim karetą jedziesz.

Nie czekałem powtórzenia tego rozkazu; wyszedłem ze świecą, którą ktoś niósł przedemną, ale pan kasztelan nie szedł za mną i gdym już był na samotnej ulicy, nie słyszałem ani powtórnego zamknięcia drzwi kamienicy, ani stąpania jego po bruku. Więc pozostał, a ja, chcąc się okazać do końca dbałym o powierzonego sobie młodzieńca, pośpieszyłem na redutę i przebiegłszy wszystkie sale, zastałem go w ostatniej, przed zielonym stolikiem, patrzącego na ów talarek, co nim niedawno kóiko na szybie od-

mrażał i który mu więcej podobnych talarków sprowadził. Moje ukazanie się mniej na nim uczyniło wrażenia, niż na dwóch damach przed chwilą widzianych, a powaga mentorska nie zdołała przewyciężyć oporu jego, tak, iż musiałem pozostać przy nim, póki za wygranemi już pieniędzmi i ostatni ów talarek nie poszedł.

Nazajutrz, gdy ucieczka pana Augusta i przepędzenie nocy na kartach było wiadomem, złożyli troskliwi rodzice radę, co czynić wypadało, aby nadal podobnym wypadkom zaradzić, i oboje się na to zgodzili, że ja wszystkiemu byłem winien. Przywołali mnie do pokoju, gdzie państwo w najlepszem z sobą będąc porozumieniu, oświadczyło mi bardzo grzecznie, że ponieważ widzą, iż syn nie chce mnie słuchać, postanowili umieścić go u Pijarów w konwikcie, a mnie z oświadczeniem grzeczności za podjęte trudy i z zapewnieniem protekcyi, od dalszego pełnienia moich obowiązków uwolnić.

ROZDZIAŁ VII.

D o m r z ą d n y.

Przykrą dla mnie była konieczność opuszczenia domu kasztelaństwa, bo czulem to dobrze, że się obojgu naraził bez żadnej winy z mojej strony i że żadne z nich nie mogło już miłym i śmiałym okiem patrzeć na mimowolnego powiernika słabości swoich, lękając się nawzajem, abym u jednego większej niż u drugiego nie znalazł ufności. Czując drażliwość mego położenia, nie korzystałem z dozwolonego przez kasztelana sobie danego pozostania w domu jego, póki innego miejsca nie znajdę i postanowiłem opuścić niezwłocznie dom, w którym nader swobodne życie w przyjemnym towarzystwie pędziłem.

Niedługo szukałem nowego miejsca dla siebie, bo guwerner Francuz od pana kasztelana stał się w Toruniu jeszcze przedmiotem spółubiegania wielu

familij, pragnących go mieć w swoim domu, tak dalece, iż mi pozostała tylko trudność wyboru i że gdybym samego tylko zysku szukał, mógłbym być puścić siebie na pewien rodzaj licytacji, aby się od dać temu, ktoby mi większą płacę ofiarował.

Ale w powołaniu mojem pożądaniami są zawsze względna uprzejmość i zalety dobrego wychowania ze strony tych, u których pomieszczenia szukamy, od wielkiej pieniężnej nagrody, bez tych rękojmi zapewnionej. Dlatego nie przyjąłem zyskowniejszych ofiar i szukając moralnej pewności szacunku i zaufania ze strony przełożonych moich, wszedłem w obowiązki nauczyciela do domu rządne go obywatela, który mi otwarcie wyznał, że mi tak wiele obiecywać nie może, jak inni więksi panowie, lecz że dotrzyma, co przyrzecze, i dobrem sercem nagrodzi ubytek dochodu,

Mój nowy opiekun (bo tak zwykłem nazywać każdego ojca rodziny, który mnie, wygnańca, do niej chciał policzyć i ojcowskiej nie odmawiał mi przychylności), mój nowy opiekun, mówię, był starostą, już tylko sam tytuł bez starostwa posiadający, więcej w lata zaszył od poprzedzającego pana mego, a tem samem powolniejszego temperamentu, poprzestający na pociechach we własnej rodzinie wynajdowanych i nie przypuszczający nawet tej myśli, że ich gdziein-

dziej szukać można. Żona jego, równego prawie z nim wieku, dzieliła toż samo przekonanie i też same uczucia, i lubo była poślubiła męża za rozkazem rodziców, nietylko nie czując żadnej do niego miłości, ale nie znając go inaczej, jak z kilku odwiedzin w domu rodzicielskim odbytych, żyła jednakże z nim jak najszczęśliwiej i poświęcała mu najtkliwsze przywiązanie małżonki, a nie miała nawet żadnego wyobrażenia miłości kochanki. Po postępkach, a nie po mowie, ceniłem przymioty tej godnej pani, bo nie umiając po francusku, tylko przez tłumaczów lub na migi ze mną rozmawiała, a usilność, z jaką starała się odgadywać moje życzenia, stała się później zachętą dla mnie do uczenia się polskiego języka, abym jej wdzięczność moją mógł wyrazić.

Rodzina ich składała się z dwóch dorastających córek i z syna najmłodszego z rodzeństwa, który mnie głównie został powierzony, z obowiązkiem dawania lekcyj pannom pod nieodstępnym dozorem starej panny, a ciotki swojej zostającym. Wszystko to poznałem odrazu za pierwszej bytności mojej w domu starosty, gdy po zawartej ze mną ugodzie pierwszy raz mnie familii swojej przedstawił. Wchodząc do pokoju, uznałem za ogólnym rzutem oka po wszystkich, iż byłem oczekiwany przedmiotem ciekawości, na którego przyjęcie od chwili już się przygoto-

wano, bo było zbyt wiele szyku i spokojności między temi różnego wieku osobami, które w zwyczajnem domowem przyjęciu w takim stanie wymuszenia zostawać nie mogą.

Za ukazaniem się mojem powstała z miejsca pani starościna z miłym uśmiechem na twarzy, postąpiła parę kroków naprzód, skłoniła uprzejmie głowę i wysłuchawszy to, co jej mąż o mnie powiedział, prosiła go, aby mi oświadczył w jej imieniu, że jestem teraz miłym gościem dla niej i że życzę sobie, abym kiedyś stał się dobrym przyjacielem domu. Po stosownej odpowiedzi z mej strony, podobnie przez męża wytłómaczonej, obróciłem mój ukłon ku pannom, i ujrzałem czterdziestoletnią ciocię, bardziej od młodych panienek wysznurowaną, z pąsową wstążką na czarnych włosach opiętą, z wyrazem niecierpliwego oczekiwania na ukłon z mej strony, przez przemówienie do starościny nieco opóźniony, która i sama z nader słodkim uśmiechem ukłon za ukłon oddała, i obie panienki trąciła, aby toż samo uczyniły. Nakoniec wystąpił naprzód dziesięcioletni chłopiec, wysunął w bok prawą nogę, żywo ją po podłodze ściągnął do drugiej i rezolutnie oddał pokłon z uszanowaniem przyszłemu pedagogowi swemu.

Z tego pierwszego przedstawienia się rodziny sta-

rosty zostały we mnie trzy wrażenia, które sprawdziły się i umocniły w ciągu kilkoletniego pobytu mego w tym drogiej dla mnie pamięci domu; jedno niewymownej dobroci w wejrzeniu matki, drugie zaletności w uśmiechu ciotki, a trzecie niewinnej a ujmującej prostoty ślicznych dwóch córek. Mówię ślicznych, bo były niemi w istocie; starsza Anna, szesnastoletnia brunetka z żywym spojrzeniem, z rozwijającą się we wszelkie powaby postacią, a młodsza Tereza, blondynka z niebieskim, słodczy pełnym okiem mniej żywa od siostry; obie ujmujące wdzięku pełną prostotą i tem, że nie wiedziały jeszcze, iż jest załtność na świecie.

Ich ój nowy opiekun był także panem, jak poprzedni, ale niższym o parę stopni co do światowego znaczenia i wziętości, lubo w samej istocie może bogatszym od niego. Mówię o parę stopni, bo rozumiem, że dyby jaki biegły badacz natury ludzkiej wymyślił narzędzie podobne do ciepłomierza, toby można mięścić w drobnych jego podziałkach, począwszy od zera aż do wysokiej liczby, ludzi znaczenia każdej społeczności, którzy utrzymują głośno i zuchwale, iż są sobie równi. Nierazby, prawda, nader trudno było wyrzeć co tę różnicę stopnia stanowi, lecz to pewna, że gdyby pewną liczbę na pozór równych sobie panów można poddać wpływowi atmosfery to-

warzyskiej, podobnie jak merkuryusz wpływowi ciepła i zimna ulega, widziano by, jakby się wszyscy uwijali po podziakach światowego znaczenia, jedni spadając, drudzy podnosząc się do góry, i żeby ledwo kilku, z tysiąca równych, na jednakowym stopniu znaczenia pozostało.

Mój starosta był tedy o parę stopni niższym panem od kasztelana, nie dlatego, aby się miał różnić urodzeniem, wychowaniem i dostatkami, ale dlatego, iż świat tak chciał i że wyrok jego był ostatecznym. On to sam przyznawał i lubo stał niewzruszony przy kardynalnej zasadzie równości szlacheckiej, nie usiłował wynosić się do kasztelańskiej wyższości, bo wiedział dobrze, że choćby na miejscu wgodnego drewnianego domu taki murowany pałac, jak tamten wystawił, choćby kilku dobrych sług swoich zastąpił zgrają złocistych służalców, choćby zamiast zbierania majątku dla dzieci, trwonił go na karty i hulanki, a zamiast kochania poczciwej małżonki czterem się razem kochankom zalecał, nie zdołał już wznieść się do tej wysokości, na której onia kasztelana osadziła.

Ale za to był mój starosta tak gwiazdą pierwszej wielkości w konstelacyi szlacheckiej, do której należał, a to znaczenie jego polegało głównie na wziętości obywatelskiej, na powołanym szacunku,

którym go bliżsi i dalsi współobywatele otaczali, a raczej na rzetelnych zaletach duszy i na tej gotowości poświęcania się dla usług współbraci. Jest to odzaj cnoty mało w moim kraju znanej, która stanowiła niegdy charakterystyczne znamię pięknych dusz polskich, a które ślady coraz bardziej się zacierają, im więcej Polacy cudzoziemszczyznę na własnych zaszczipiają obyczajach.

Szukać szczęścia w domu i rodzinie własnej, a dobrej sławy w przysługach współobywatelom świadczonych, oto była dążność życia starosty. Póki był w domu, zdawało się, że gospodarskie czynności, a przywiązanie żony i dzieci sercu dostatecznych dostarczały żywiołów, i że nie znał wyższego celu działań i życzeń swoich. Lecz gdy dwóch poróżnionych sąsiadów do jego odwoływało się pośrednictwa, aby wszczęty spór rozstrzygnął, gdy osierociała rodzina jego poruczała się opiece, lub wdowa wzywała jego pomocy, obojętnem się stawało ulubione gospodarstwo, obcą ukochana tamilia, ciasny dostatni dom własny, bo go obowiązek uczynności na obce powoływał usługi, w których mógł najmilszą dla siebie zyskać nagrodę: wdzięczność poratowanych i pociechę wewnętrznego przekonania, że dobrze bliźniemu uczynił.

W początkach pobytu mego wśród tej zajmu-

jącej rodziny, nie rozumiejąc mowy, odgadywałem wszakże uczucia, które ją ożywiały i które w innych wzbudzała. Pamiętam jeszcze dzień powrotu starosty z Torunia do własnego domu i pierwszy mój wstęp do niego. Obcy i od nikogo nieuważany, patrzyłem na wszystkich okiem domyślności serca, a pojmowałem wszystko, chociaż żadnego nie rozumiałem wyrazu.

Domownicy spodziewali się przybycia państwa od trzech dni naprzód zapowiedzianego, dlatego wszystko wesolą i świąteczną przybrało postać. Otworem stała brama dziedzińca, przez całą zimę zawarta, a huczne potrzaski z bicia po kilkakroć przez woźnicę powtarzane, oznajmiły domownikom, że państwo przybywa. Przed obszernym dworem drewnianym było świeżo zamieciono i piaskiem wysypano. Pod wystawą czekały trzy osoby z wypogodzonemi twarzami, nikt mi nie powiedział kim były, a jednak odgadłem w nich odrazu wysłużonego kredencera, starą szafarkę, co jeszcze samą starościnię wychowała, i mamkę, co obie córki kolejno wykarmiła. Pierwszy najprzód ścisnął pana za nogę, a potem wziął na rękę panicza, co skaczący w jego się rzucił objęcia, druga panią ukochaną powitała, przez nią w objęcie przyjęta, a trzecia ścisnęła po macierzyńsku panienki jedną piersią wykarmione i od nich tklive

odbierała uściski, a co to opowiadania i zapytań, wykrzykników i zadziwień, wszystko z uśmiechem, z wyrazem miłości! A potem się rozbiegali witać z ulubionymi każdemu zakątkami: starosta ku stodołom, odpowiadając łaskawem skinieniem głowy, lub lekkim po ramieniu uderzeniem na uniżone oficjalistów i sług ukłony, starościna do sypialnej komnaty i wprost z niej do przyległej domowej kaplicy, gdzie przyklękawszy przed obrazem Matki Boskiej, pacierz zmówiła; córki do swego pokoju, czy żyją oba kankarki, czy nie zwiędły starannie hodowane mirty i rozmaryny, kiedyś na wianek ślubny przeznaczone, a młody mój student do psów podwórzowych, czy go też poznają i jak dawniej przyjmą.

Po jakimś czasie, gdy każdy w swoim zawodzie powziął wiadomość o tem, co go najbardziej zajmowało, zebrali się wszyscy w stołowej sali, domownicy mniej więcej zbliżeni do państwa, i ogólna wszczęła się rozmowa, w której każdy pociechy i żale swoje wynurzał, a żywość mowy i poruszeń przekonywała mnie, że to wszystko byli ludzie, którzy umieli szukać i znaleźć szczęście w ciasnych obrębach rodzinnego domu, który był w tej chwili całym ich światem, a świat cały obcą lub nieznaną krainą. Cieszyło mnie to nawet, że ja, będący zawsze przedmiotem grzeczności wszystkich, zostałem w tej chwili

pierwszego wstępu do rodzinnego domu zupełnie zapomniany i pominięty, jako istota obca, nie mogąca pojąć pospolitych uciech wewnętrznych familijnego pożycia. Bo któż się mógł domyślić, żem je pojmo-
wał, żem je dzielił z pewną tęsknotą, która mi łą-
czyła smutku za krajem i za mojemu wycisnęła.

Obok miłego wrażenia, jakie na mnie czynił wi-
dok tej godnej familii, domowem szczęściem zajętej,
uderzyła mnie różnica zamożnej rządności domu sta-
rosty od zbytkowego bezrządu dworu kasztelana.
Wkrótce po naszym przybyciu zajechały przed dwór
ładowne wozy, które do Torunia zboże, a ztamtąd
różne zapasy towarów, do utrzymania domu potrze-
bnych, przywoziły. Były tam beczki i baryłki z wi-
nami różnego gatunku, puzdra wódek i likierów gdań-
skich, starownie opakowane pudła z marcepanami
z tegoż miasta i z piernikami toruńskimi, tudzież
z bakaliami i różnemi łakociami, i zapasy wszelkiego
rodzaju płodów kolonialnych, do kuchni pańskiej po-
trzebnych. Nie wyszedł tu żaden marszałek dworu
odbierać te przedmioty, jako zdobycz dla chciwości
własnej, lecz wyszła sama gospodyni domu spra-
wdzić z rachunkiem kupca w rękę, czy wszystko
dowiezionem zostało i oddać te zapasy do zachowa-
nia wiernej szafarce swojej, a gdy je przenoszono to

do piwnic, to do spiżarni, widziałem, że we wszystkich tych składach porządek i dostatek panował.

Nie było przy tej czynności zgrai służących, która mnie na dworze kasztelana zadziwiła i nieznośnym zgiełkiem swoim odurzała. Było kilku ludzi służących, porządnie przybranych, bądź z nami przybyłych z Torunia, bądź nadbiegłych dla pozostania na usługi państwa, wszyscy, ile się zdawało, miejscowi, w dobrach starosty osiadli, czegom się domyślił po żonach i dzieciach, na ich przywitanie przybyłych. Zamiast dwóch kamerdynerów, państwem i służącymi tam rządzących, był tu jeden stary kredenecz, równie przez państwo, jak przez inne sługi dla długoletniej służby i nieposzlakowanej uczciwości poważany. Nie było koniuszych i masztalerzy, lecz był stary Wojtuś, emeryt woźnica, który jeszcze nieboszczyka ojca starosty do ślubu wozził, jako naczelnik stajni nigdy z niej nie wychodził, doglądał młodszych: stangreta i forysia, aby o konie dbali, pięknie je czyścili i dobrze paśli, i który pod swoim miał kluczem wozownię z pojazdami i zaprzęgami i komorę z obrokiem.

Nie było łowczych i sławnych z kłamstwa, z pijaństwa myśliwych, ani zgrai dojeżdżaczy i psiarków, przepijających w karczmie ospę dla psów przeznaczoną, lecz był stary Wacho, który starostę jako pa-

nicza do kuropatw strzelać uczył, a z nieboszczykiem jegomością kiedyś w wielkiej puszczy na Litwie przez dwa tygodnie polował i to polowanie nieustannie wspominał, a ten pan Wacho pamiętał dobrze o trzech sforach pięknych ogarów i o dwóch smyczach chartów; towarzyszył jeszcze panom na polowania, pomimo lat siedemdziesięciu, i umiał dopilnować młodszych gajowych, aby drzewa żydom nie sprzedawali, a zwierzyny nad potrzeby dworu nie tępili.

Nie było ani komisarza, ani kasyera, lecz był podżyły podstarości, naczelnik trzech zasłużonych włodarzy na folwarkach, który młodsze lata na wyprawach konfederacyi Barskiej strawił, a teraz przez pocziwe pełnienie obowiązków ekonomisty okupił chciał grzechy młodości, na hulankach i najazdach strawionej. Posiadał on całe zaufanie pana starosty, ale dlatego przybywał codziennie po rozkazy pańskie i ścisły zdawał rachunek z przychodu i rozchodu zboża, tudzież z wybranych i wydanych pieniędzy.

Słowem powiedziawszy, w całym domu starosty przenikało i pilnowało wszystkiego oko pana lub pani. Oficjaliści i służący byli do wykonywania rozkazów państwa, a nie do zastępowania ich w rozkazywaniu. Dostatki panowały wespół z rządnością, używano ich bez sknerstwa i zbytku, a dobry byt

był widocznym we wszystkim i we wszystkich, co dom starostwa składali.

A ileżby to takich domów mogło być istnieć w Polsce, gdyby baczniejsi na własne dobro panowie, byli umieli korzystać z błogich czasów materialnej pomyślności za rządu pruskiego! A jak mało familij prawdziwie bogatych pozostało z tych piętynnych czasów, gdy niespodziewany obrót wypadków politycznych Polaków do życia narodowego powołał.

ROZDZIAŁ VIII.

G a l a.

Spokojnie płynęły dnie moje w domu starosty. Było to zupełnie odmienne życie, nie takie, jak u poprzedniego pana mego. Daleko mniej hałasu, zgiełku i roztargnienia, a więcej rzeczywistych pociech, więcej chwil szczęśliwych i użytecznie spędzonych.

U kasztelana schodził mi czas nie tak dalece na własnych rozrywkach, jak raczej na przypatrywaniu się obcym zabawom; rzadka chwila prawdziwego pokoju, a żadna z sobą samym strawiona, którąby rozbiorowi doznanych wrażeń, pojmowaniu uczuć i rozpamiętywaniu poświęcić można było, bo albo się szło za wirem towarzyskiego oddechu, albo się odpoczywało po znużeniu gwarem świata. I byłbym tak żył dłużej w odurzeniu i w nicości, ażbym był doszedł z czasem do tej bezwładności pojmowa-

nia wyższych uczuć i sięgania dalej myślą niż chwila obecna i codzienne stosunki nasze, której ostatecznie ulegają ci, co całe życie próżności i uciechom towarzyskiego pożycia poświęcają.

U starosty był wprawdzie czas zabawom przeznaczony, ale trzymano się tej zasady, że użyteczne zatrudnienie jest celem życia, a rozrywki jego uprzyjemnieniem. W tym domu nauczyłem się pierwszy raz w życiu dzielić dzień cały na godziny stałym zajęciem oznaczone i przywiązywać wartość do tych podziałek czasu, które niepostrzeżone dla próżniaków upływają. Poznałem także po raz pierwszy, jaka to jest przyjemność być użytecznym i widzieć owoce swojej pracy; uczyłem się nauczając, doświadczenie własne rosło razem z postępami ucznia i uczennic moich... ale bo też miałem uczennice zachwycające! Jak tu nie dokładać największych starań i usilności, jak nie pracować nad sobą samym, kiedy tak zajmujące istoty nauk naszych słuchają? A przytem, było to na wiosnę, w porze kwiatów i śpiewów, gdy wszystko tchnie wdziękiem świeżości, a serca, podobnie jak pączki kwiatów, otwierają się do przyjmowania, jedno rosy a drugie miłych i żywych wrażeń. A ona była samą wiosną, miała wszystkie jej powaby; świeżość poranka życia, skromność pierwszych zawiązków kwiatu, wdzięk przez samą naturę umajonej ni-

wy, do której ręka ludzka nic nie dodała... i zachwycała, nie wiedząc, że zachwyca. Żyła w skromnej prostocie, z myślą dziecięcą, z natchnieniem anioła, była moją uczennicą, musiała mnie słuchać, odemnie odbierać polecenia...

Ale o czymże ja to rozprawiam? gdzież mnie uniosło słodkie wspomnienie, które, podobnie jak róża na mogile, resztę życia mego ozdabia? O wcale czem innym miałem mówić: oto, zamierzyłem sobie opisać uroczystość familijną, imieniny starosty i wielką galę z tego powodu wyprawioną. Wracam się tedy do miejsca, z którego mimowolnie zboczyłem. Porównywałem dwóch moich panów.

Otóż tedy u pierwszego, to jest u kasztelana, był cały sposób życia nieco zczudzoziemczący. Ubiory były francuskie, za panowania Augustów do Polski wprowadzone, kobiety z wysoko fryzowanymi, mężczyźni z pudrowanymi włosami. Pierwsi eleganci naśladowali naszych tak zwanych *starego etatu*. U starosty zaś przemagała suknia polska; nie szydzono z francuskiej mody, lecz jej się nie chwytano, aby krajową porzucić. Tam był stół więcej wystawny, niż smaczny, wina francuskie, wety z Warszawy sprowadzane; tu jedzenie zawsze smaczne, wyjąwszy gdy miało być wykwintnem, wina nigdy inne, jak węgierskie, ale różnego wieku, podeszłego w uroczy-

stościach, a zawsze obficie dostarczane. Tam przedmiotem rozmowy wypadki polityki zewnętrznej lub plotki wielkiego świata; tu krajowe i gospodarskie przygody, tudzież familijne stosunki lub domowe zdarzenia. U kasztelana polski język francuskim przeplatany, u starosty sama polska mowa w użyciu; pierwsze nieznośniejsze było dla mnie od drugiego, bo wołałem nic nie rozumieć, niż chwycić pojedyncze wyrazy, a nie módz ich razem powiązać.

Dzień Św. Józefa Kalasantego, w piękną porę, bo na początku lipca przypadający, był zawsze uroczystości obchodzony w domu starosty, jako rocznica jego imienin. Powszechny zwyczaj niesie, iż się na imieniny nikogo nie zaprasza, a wielu gości spodziewa, zwłaszcza tam, gdzie solenizant wielką ma wziętość w obywatelstwie i powszechne posiada poważanie. Że takie było oczekiwanie w domu starosty, tego się domyślałem po przygotowaniach od trzech dni czynionych.

Poranek poświęcony został familii i domownikom, życzenia swoje ojcu i panu znoszącym. Moja muza musiała się wysilić na trzy powinszowania, od córek i synka, a sposób wyrecytowania wyuczonych wierszy, zwłaszcza przez syna, miał świadczyć o postępach pod moim kierunkiem uczynionych. Wyznaję, że mnie daleko mniej obeszło kaleczenie iloczasu i jękanie się Jasia, niż sposób, w jaki siostra jego Anu-

sia, przy gładko wyrzeczonych wierszykach nierozwiniętą różę ojcu podała, i czulem, że rumieniec osiadł na twarzy z obawy, aby się nie domyślano, że wiersze więcej pochwałę mówiącej, niż tego, do kogo były obrócone, opiewały. Ojciec zimno przyjął i różę i poezję moją, uściskał serdecznie dzieci, lecz się nie rozrzewnił dowodami ich przychylności. Bo jest znamieniem charakterystycznym Polaka, że lubo jest szczerze i z gotowością do poświęcania przywiązany do rodziny swojej, nie okazuje tego tkliwemi oświadczeniami, ani powierzchownemi oznakami tej rzewności, jaką każdy Niemiec w familijnych wynurzeniach przejęty bywa. Nie jest on bowiem ani romansowym, ani skłonny do uniesień, lubo może więcej jest gotów poświęcić siebie samego dla swoich, aniżeli Francuz i Niemiec.

Koło południa zaczęli się zjeżdżać goście; aby lepiej uważać przybywających, wyszedłem przed się z jednym, od dni paru w domu naszym bawiącym krewnym starosty, który mi opisał znaczenie, stosunki i charakterystyczne cechy niektórych osób, w miarę jak przededwór zajeżdżały; a lubo ogół przybywających składał się z ludzi nie odznaczających się żadnem dziwactwem, kilka jednakże obrazów widzianych wówczas gości zachowałem w pamięci.

Najprzód uczynię tu tę ogólną uwagę, iż w owym

czasie nie znano jeszcze tej różnorodności stanu osób w jednym zgromadzeniu goszczących, która gdzieindziej była już tak pospolitą, a później i w Polsce nastąpiła. Całe towarzystwo wiejskie, u mniejszych nawet panów polskich, składało się koniecznie ze szlachty, a mianowicie z posesyonatów, to jest właścicieli ziemi. Nie zobaczyłeś w niem mieszczanina lub wątpliwego pochodzenia człowieka, a gdy chudeusz z obcej łaski żyjący miał przystęp do obywatelskiego domu, skoro był szlachcicem, nie udało się nigdy innego stanu ludziom, lubo z majątku i ze zdolności znakomitym, dojść do zażyłości i poufałego obejścia ze szlachtą, zwłaszcza na zjazdach i uroczystych zgromadzeniach

Pierwszy przybył z nieproszonych gości wysoki, podeszłego wieku szlachcic, w popielatej długiej bekieszy, białym pasem przepasany, który wjechał na chudym człapaku, z trudnością do truchtu zmuszonym i tak był na swoim rumaku naprzód nachylony, iż pierwiej od niego głowę swoją w bramie dziedzińca okazał. Uwiązawszy konia u słupa, rozgarnawszy palcami zrosłe włosy i otrzepawszy kurz z bekieszy, zbliżył się szlachcic z miną uniżenia do starosty przed sienią stojącego, skłonił się czapką do nóg jego i biegle, bez zajknięcia, przerecytował oracyę powinszowania imienin, *mutatis mutandis* do wszystkich wię-

kszych panów okolicy, w miarę zdarzonej okoliczności stosowaną, za co otrzymał, czego pragnął, to jest pozwolenie zostania na gali.

Gdy ten pierwszy gość chudego człapaka do stajni odprowadzał, dało się słyszeć za bramą dziedzińca mocne wołanie stangreta i forysia, zachęcające poszóstny wysłużonych siwoszów zaprzęg do wydobycia sił ostatnich, aby z jakim takim pośpiechem poczwórną karetę staroświeckiej roboty przededwór dostawić. Wsiadł z niej poważnej otyłości mężczyzna w polskim stroju, a za nim podobnejże tuszy szanowna małżonka, która za pomocą męża zewnątrz i dwóch córek wewnątrz pojazdu pomagających, ledwo się z niego wytloczyła. Po odpoczęciu dwojga otyłych małżonków, po poprawieniu toalety nieco przy trudnej operacji zmiętoszonej i po nader uroczystych powitaniach, weszli i rodzice panny razem z góspodarzem domu do pokojów, a mój towarzysz opowiedział mi krótką ich biografię. Byli to państwo stolnikostwo, osoby większej objętości ciała, niż zdolności umysłu, słynni w całej okolicy z dobrej kuchni i z jeszcze lepszego apetytu, którzy poświęcali wszystkie dochody swoje na utrzymanie tego rodzaju sławy, z uszczerbkiem innych potrzeb, a nawet toalety dorosłych panien. Pan stolnik zatrudniał się jednak piśmiennictwem i często się zamykał w swojej kan-

celaryi, aby do grubej księgi ważne jakieś zapisywać zdarzenia, czy uwagi, których nikt nie znał, bo księgę swoją starannie przed wszystkimi zamykał. Po śmierci jego okazało się dopiero, że do tych pamiętników, które się stały przedmiotem ciekawości całej okolicy, zapisywał jaknajstaranniej przez lat czterdzieści, gdzie kiedy był na proszonym obiedzie, jakie jadł potrawy, jakie pił wino, wszystko wzbogacone krytycznymi uwagami nad dobrem lub niestosownem przyrządzeniem potraw i zastawieniem obiadu.

Mocne potrzaski wywabily wkrótce gospodarza domu przededwór dla powitania nowego gościa, który tym hałasem z bicza zdawał się chcieć uprzedzić bawiących w pokoju, że warto jest wyjść przed sień lub wyrzeć oknem, aby się zajeżdżaniu pięknego ekwipaża przypatrzeć. Był to w samej istocie dobór doskonałości powozu, zaprzęgu i koni, który nieznawców oryginalnością ogółu, a znawców prawdziwemi zaletami każdego szczegółu zajmował. Nową kolaskę od Dangla ciągnęło pięć koni, każdy innej maści, ale każdy bardzo urodziwy, pełen ognia i wielkiej wartości. Wygalowany stangret wodził z konia tą dzielną piątką, przybraną w chomonta z borsuczemi skórami; z mistrzowską biegłością i siłą rozpędził konie czwałem na samym zajeździe i w miejscu, jak wryte przed domem zatrzymał. Z kozła zeskoczył kozak

z ukraińska przybrany, a z za pojazdu strzelec błyszczący się od złota i wysadzili z kolaski średniego wieku mężczyznę, wytwornie, lecz odmiennie od wszystkich, bo pół polskim, pół wschodnim strojem przybranego, który po przywitaniu gospodarza, piątkę swoją przejechać kazał, aby mu dać sposobność podziwiania koni. Mój kolega powiedział mi, że ten pan, odziedziczywszy po rodzicach znaczne bardzo sumy pieniężne, udał się z niemi na wschód za kupnem koni i tak przesadzone ceny za nie zapłacił, że gotowe kapitały pochłonęła stajnia i że intraty z wiosek na utrzymanie koni nie wystarczały. Żądza posiadania konia rzadkiej piękności przemagała u niego nad wszystkim i tembardziej się zapalał w kupnie, im więcej mu trudności w nabyciu go stawiano. Zdarzyło się, że będąc w stajni bardzo znakomitego kupca koni w Stambule, gdy mu tenże, źle wróżąc z zaniedbanego ubioru, nie chciał kazać wyprowadzić konia dlatego, że sądził, iż żądanych za niego tysiąca czerwonych złotych zapłacić nie zdoła, zawołał na służącego, z podanego sobie trzosa żadaną sumę złotem pod nogi konia wysypał i bez wyrzeczenia słowa, że stajni wyprowadzić go kazał.

Po tym zajeździe tak znamienitego z koni swoich gościa przybyło kilka pojazdów, które ani temi, co je ciągnęły, ani tymi, których wiozły, uwagi

mojej na siebie nie zwróciły. Były to skromne i mniej więcej podobne do siebie ekwipaże, z których wysiadały osoby nie odznaczające się śmiesznością, lecz zapowiadające wesołych, miłych gości. Chciałem już opuścić obserwatorium moje, kiedy nadjeżdżanie pary coś cudzoziemskiego w powierzchowności swojej mającej, uwagę moje ściągnęło i dłużej mnie przed sienią zatrzymało.

Mąż lub syn, bo nie mogłem tego za pierwszym wejrzeniem rozeznaczyć, dosyć, że stosunkowo młody i przystojny mężczyzna, powoził w otwartym faetonie, parą angielskich koni ciągnionym, dobrze podżyłą damę. Zajechał zwolna przed dwór, oddał lejce żokejowi za faetonem konno jadącemu, sam zeskoczył z niego i z wyrazem uszanowania podał rękę bolejącej, ile się zdawało, towarzyszce swojej, i wyjął z jej rąk ulubionego pieska, szal i parasolik, czem obładowany w lewej ręce, usiłował prawą wspierać damę póki zwolna i ostrożnie po stopniach na ziemię nie zesła. Tu odetchnęła ciężko, jak po mocnem znużeniu, sparała głowę na swoim towarzyszu, wzniosła bolejąco oczy ku niebu, odetchnęła raz jeszcze, postąpiła krokiem ku gospodyni domu i powitała ją lekkim skinieniem głowy i przyłożeniem jednego paluszka glansowną rękawiczką pokrytego do otwartych na jej przyjęcie dłoni starościny, wymu-

szając przytem uśmiech na zwiędłej twarzy, z rodzaju tych, jakie czasem śród boleści na ustach chorego osiadają. Czy co wyrzekła przytem, nie słyszałem; że nie było między witaną a witającą ani przyjaźni, ani zażyłości, tego się domyśliłem. Gdy owa przelegancka dama, po otrzepaniu przez jej towarzysza drobniutkiej nóżki z kurzu i po pełnem gracyi poprawieniu delikatniuchną rączką piór strusich na głowie, weszła do pokojów, otrzymałem od mego kolegi następującą odpowiedź na zapytanie, coby znaczyła w świecie ta dość ciekawa para.

— Jest to mąż i żona—rzekł mi—czego się nie każdy po różnicy wieku domyśli. On był wojskowy, który nie czując powołania do ubiegania się za sławą po polach bitew na obu końcach ziemi, a nie mając ani piędzi własnej, poświęcił młodość swoją usługom starej żony, która mu za to wygody życia i pewien fundusz do tentowania szczęścia w karty zapewniła, lecz przytem despotycznie wszelkiemi zdolnościami i czynnościami jego rozządza.

Była to wdowa po jednym z owych bankierów sławnych z bankructw swoich w końcu panowania Stanisława Augusta. Urodzona w miejskim stanie, odebrała wychowanie wykwintne, słynęła niegdyś z piękności i z elegancyi, żyła za młodu wśród wszystkich uciech i zbytku, przyjmowała w swoim

pałacu w Warszawie i w letniem mieszkaniu na Faworach króla i dwór jego, wszystkich znakomitszych panów ówczesnych zapisała do listy swoich czcicieli, a gdy król, dwór i czciciele wraz z młodością i majątkiem zniknęli, schroniła się owa niegdyś bogini wielkiego świata, ze szczątkami bogactw z rozbitcia ocalonemi, do ustronia wiejskiego, wzięwszy sobie za męża młodego szlachcica bez grosza, aby ją nazwiskiem swoim zasłaniał od pogardy tych, którym pierwszy jej mąż znaczny uszczerbek w majątkach uczynił, i aby ją młodością swoją po stracie młodości własnej pocieszał.

Dom jej wygląda dzisiaj jak tymczasowy skład drogich sprzętów, przy pogorzeli pałacu ocalonych. Nie chcąc się wydać przed światem z tem, że pomimo bankructwa pierwszego męża, zdołała jeszcze zachować dostateczny majątek, nie kupiła ona dóbr, lecz dzierżawi małą wioskę i mieści się w niskim drewnianym dworku, którego niegdyś raz do roku bielone ściany, teraz drogiemi materyami są pokryte i w którym dziś, zamiast pisku drobiu, dawniej w izbach jego wylęganego, odzywają się wrzaski papug i sępów indyjskich, tudzież pół tuzina psów bonońskich, zagłuszających każdego wchodzącego gościa.

Po przybyciu tej pary nie spodziewaliśmy się już nikogo więcej, bo ona zwykła wszędzie ostatnia

przybywać, dlatego wróciłem wraz z moim cicerone do pokojów czynić uwagi nad ogółem tego towarzystwa, które w szczegółach przed mojem okiem się przesunęło.

Była to chwila zwykle najnudniejsza w każdym zebraniu osób, które mają przed sobą widoki posiłku i zabawy. W chwili poprzedzającej obiad nie ma w goszczących ochoty do rozmawiania, bo u jednych apetyt podróżą podbudzony, poddaje umysł przemocy żołądka, u drugich potrzeba kieliszka wina, aby język rozwiązać; a damy nie mają czasu zająć się rozmową i zabawą, bo muszą przedewszystkiem odbyć przegląd ubiorów i wzajemnych wdzięków, przeniknąć zamiary matek i córek, zbadać wejrzenia mężczyzn, którymi się zajmują, i wyprowadzić z niego wróżby, czy się spółzalotnic obawiać, lub własnej potęgi pewnymi być należy. Pannom wypada w tym czasie okazywać nieśmiałą skromność, spuszczać oczy lub powłóczyć je po towarzyszkach, czy wdziękami lub ubiorem zaćmić nie grożą, ale przy tem wszyskiem szukać ukradkiem między młodzieżą tego, co nas już zajął lub zająć może. A ta młodzież, w jeden kąt pokoju zbita, poglądała zdaleka na młodsze mężatki i wdowy i na panny, u pierwszych szukając tylko ponęt, u drugich wdzięków; do tamtych śmielszą sięgając myślą, a ku tym odnosząc nadzieje swoje.

Najwięcej miejsca zajmowało w bawialnym pokoju, liczne grono starszych obywateli, którzy o politycznych rozprawiali przygodach, o gospodarstwie i o wysokiej cenie produktów. Między nimi był jeden taki, co oddzielne koło spółobywateli facecyami swemi zabawiał, po skończeniu każdej powiastki sam się pierwszy śmiać zaczynał, jakby chciał dać znak do rozpoczęcia chóru śmiechu, który w pewnych przestankach przerywał głuchy szmer, przez ciche rozmowy ciągle utrzymywany.

Przecież wszedł lokaj z zaproszeniem gości do stołu. Rozumiałem, iż po znużeniu wszystkich długiem oczekiwaniem każdy pośpieszy do sali jadalnej; tymczasem nastąpiła niemała zwłoka w przejściu z jednego pokoju do drugiego z powodu konieczności dopełnienia wszelkich formalności etykiety towarzyskiej.

Dziwiło mnie to nieraz, że Polacy, zwykle tak żywi przy zabawach swoich, tak mało systematyczni w całym pożyciu, okazywali pewien rodzaj pedanterii w oświadczeniach grzeczności, czyli w tak zwanych ceremoniach towarzyskich. Z początku zwłaszcza spoglądałem z zadziwieniem, jak na odgrywaną pantominę, gdym widział dwóch dobrych znajomych, przy powitaniu lub ladajakiej okazji, kłaniających się sobie nawzajem przez kilka minut, jak sobie ściskali

zobopólnie kolana, lub czapki naprzemian do nich przykładali, mówiąc przytem ciągle jakby sobie coś tajemnego udzielali. Gdy przyszło, tak jak na naszej gali, do wychodzenia z pokoju lub zasiadania miejsc u stołu, rozumiałem, że końca nie będzie ukłonom i komplementom. Później dowiedziałem się, że trzeba było do tego oddzielnych wiadomości historycznych i statystycznych, aby dokładnie wszelkim wymaganiom etykiety zadosyć uczynić.

W każdym bowiem zgromadzeniu obywatelstwa ustanawiała się pewna hierarchia między obecnymi, zasadzająca się na własnem ich znaczeniu lub na tem, które po najbliższych krewnych lub po przodkach na nich spływało. Wprawny dyplomata pokojowy ogarniał jednym rzutem oka wszystkie stopnie i całą kolej tej hierarchii i podług tego ustanawiał pierwszeństwo i następstwo gości. Lecz biada cudzoziemcowi lub nieświadomemu surowych praw etykiety polskiej, jeśli się kiedy posunął z podaniem ręki damie, którą sądził być godną pierwszeństwa przez wzgląd na wdzięki i uprzejmość; bo jeśli traf szczęśliwy do dygnitarki go nie poprowadził, wystawiał obraną piękność na to, że u drzewi z pokorą czekała, póki na nią kolej po pierwszych damach zgromadzenia nie przyszła, aby próg pokoju przestąpić. Trzeba było znać nietylko historję kraju, ale

przytem historię familij polskich, ażeby być biegłym w oznaczeniu każdemu z goszczących właściwego miejsca i aby nikomu nie ubliżać, a ubliżenie, czyli danie niewłaściwego pierwszeństwa, mogło się stać źródłem długotrwałych niechęci między familiami.

Trudność zachowania właściwej kolei w powierzchniowych oznakach grzeczności powiększała się jeszcze w razach wątpliwych, gdy np. między dwoma równego tytułu osobami wybór czynić trzeba było. W takim razie stanowiło o pierwszeństwie pochodzenie osoby, czyli stopień znaczenia jej antenatów z linii macierzystej, a w braku różnicy pod tym względem, wiek osoby. Dlatego też, aby być biegłym w stopniowaniu osób towarzystwa, trzeba było wiedzieć nietylko, jak się kto nazywał, jaki miał tytuł i stopień, ale prócz tego jeszcze z kogo się rodził, z jakimi familiami był spokrewniony.

Przy ściślem zachowaniu wszelkich tego rodzaju względów, trudno było uniknąć tego, aby kto z obecnych nie doznał, przynajmniej w mniemaniu swoim, jakiego upokorzenia; to się nawet przytrafiło u starosty, pomimo, że on miał szczególną trafność w unikaniu tego wszystkiego, coby dla kogokolwiek przykrością być mogło i godzenia obowiązków osobistej grzeczności z surowemi prawidłami etykiety.

Owa bowiem ex-bankierowa, która niegdyś do najpierwszego stolicy należała towarzystwa i z pewnym poświęceniem ze swej strony raczyła teraz do szlacheckich wchodzić zgromadzeń, marząc o tem, że tam będzie przedmiotem podziwienia i poszanowania wszystkich, żywo dotknięta została uczuciem ubliżenia sobie, gdy gospodarz nie jej podał rękę, aby przewodniczyć damom w przejściu do sali jadalnej, i że miała być jedną z ostatnich w tym uroczystym pochodzie. Dlatego nie chcąc się narazić na takie upokorzenie, udała nagłą słabość, usunęła się na stronę, odmówiła ręki temu, co się przecież po nią zgłosił, i dawszy znak mężowi, wysunęła się niespostrzeżona do ogrodu, a ztamtąd w największym gniewie do pojazdu swego pospieszyła i grubiańską, jak ją nazywała, szlachtę porzuciła.

Przy siadaniu do stołu ponowiły się też same ukłony i wzajemne ustępowania pierwszeństwa, które przed chwilą przedłużyły przestąpienie progu do sali jadalnej, a to kolejną od pierwszego do ostatniego miejsca, które się mnie dostało, tak dalece, iż ponieważ trzeba było stać póki poprzedzający goście nie usiedli, trafiło się, że pierwsze osoby już były zjadły zupę, kiedy ja do skrzepłego i muchami upstrzonego rosołu się dostałem.

Nie, to nie była ani zabawna, ani przyjemna

część obyczajów polskich, te galowe obiady, przy uroczystych obchodach przez panów dawane. Nie było tam ani napół głośnych rozmów z miłemi sąsiadkami, ani wesołej ogólnej rozmowy, którą dowcipniejsi ucinkami ożywiali, ani owych ochoczych pieśni przy wetach chórem śpiewanych, które tyle powabów naszym francuskim obiadom nadają. Nie mogłeś tam myśleć o tem, abyś sobie dobrał przyjemne sąsiedzwo u stołu, bo nicodzwonne przepisy etykiety przeznaczały ci sąsiada zwykle nudnego. Rozmowy z damami ani mogłeś rozpocząć; zajmując jedną stronę długiego stołu, siedziały zawsze koleją starszeństwa nie wieku, lecz godności, najczęściej naprzeciw mężów swoich, drugą stronę stołu zajmujących, a to zwykle w poważnem milczeniu lub w półgębkowej rozmowie z sąsiadkami, na stopie wymuszonej grzeczności z sobą żyjącemi. A dalej w tymże rzędzie biedne panienki, nie śmiejące podnieść oczu na kawalerów naprzeciw siebie siedzących, poglądujące za każdym powodem do pomieszczenia na dno talerza, jakby szukały smacznego kęsa potrawy, której ledwo kosztowały, szeptające nieśmiało między sobą, narzekające na nudy siedzenia godzin kilka u stołu i to jeszcze naprzeciw mężczyzn, z którymi rozmawiać się nie godzi, a którzy śmiało na nie poglądują i wyraźnie o nich rozmawiają.

W początku obiadu można było posilić się spokojnie, poglądać po pięknych twarzach i jeżeli nie prowadzić przyjemnej rozmowy, to przynajmniej nie być zagłuszonym powszechnym gwarem. Lecz gdy po trzeciej potrawie zjawił się kielich kolejny, na-przód mały, potem większy i jeszcze większy, gdy przy spełnianiu wnoszono niezmiennym obyczajem przepi-sane toasty: solenizanta, jego małżonki, jego rodziny, jaśnie wielmożnego tego i owego, dam, nieobecnego jakiego solenizanta lub tego, co przed tygodniem rocznicę imienin swoich obchodził i t. p., pomnożone kieliszkiem za każdym zdrowiem przez kogoś na podziękowanie spełnionym, gdy, mówię, nieskończona kolej toastów się rozpoczęła, od tej chwili nie było już spokojności dla nikogo z mężczyzn, trzeba było raz wraz wstawać z miejsca, czekać póki pijący kieliszka nie spełni, usiąść na chwilę i powstać znowu, gdy następny za toż samo zdrowie lub na podziękowanie kielich wychylał, odbierać krzyżujące się kielichy, spełniać je lub oddawać sąsiadom, tak, iż ledwo mogłeś znaleźć moment szczęśliwy do zjedzenia potrawy przed sobą mianej, zwłaszcza, że zbyt usłużni lokaje porywali ci talerze, któreś chciał opróżnić, gdyż musiał sięgać po kieliszek, którego bynajmniej wypróżnić nie pragnąłeś.

Jeżeli po długiem oczekiwaniu upragnione było

rozpoczęcie obiadu, bardziej jeszcze pożądanym jest koniec jego dla tego, kto trzeźwo przetrwać go potrafi. Dla dam, a zwłaszcza też dla panien, było to pewne oswobodzenie, podobne do tego, jakiego doświadczają znużeni kilkogodzinną nauką studenci, a gdy runęły krzesła od stołu, gdy drzwi otworzono do ogrodu, był to między nimi istny obraz rozpuszczonej szkoły, z tą różnicą, że się wysnuło do ogrodu nie kilkudziesięciu swawolnych studentów, lecz grono skromnych a wolnych dziewcząt, które się rozbiegły po ogrodzie i cienisty szpaler ożywiły płasy swemi i tak długo tłumioną rozmową. Mężka młodzież najprzód zdała, potem coraz bliżej za nimi się ubiegała i następnie przy towarzyszeniu młodszych mężatek z nimi się złączyła. Za młodszymi wyszli i starsi chłodzić się po kilkogodzinnem cierpieniu upału w sali jadalnej; ostatnie wyszło najstarsze grono ojców rodziny pilnujących kolei kieliszkowej i zabrawszy miejsce pod cieniem lip starożytnych, przy wzajemnych oświadczeniach i ściskaniach, spełniali starem winem zdrowia, które się przy obiedzie załatwić nie dały.

Od tej chwili dopiero zaczęły się wesole i po-
ufne zabawy, ustało panowanie etykiety, a w jej
miejscu miłe żarty, tkliwsze uczucia i słodkie nadzie-
je, resztę wieczora dla młodszej części towarzystwa
w prawdziwą *uroczyść serc* zamieniły.

ROZDZIAŁ IX.

C h ł o p i p o l s c y .

Odkąd się nauczyłem cenić czas i używać go użytecznie, począłem także oglądać okiem rozwagi na ludzi i rzeczy nowością dla mnie będące, a co w domu kasztelana wśród nieustannych rozrywek uwagi mojej uchodziło, to w gospodarnem zaciszu starosty ciekawem i zajmującym dla mnie się stało. Pókim szedł za popędem próżności i uciech wielkiego świata, mijał mnie niespostrzeżony chłopiek polski z prostotą i rozsądkiem, z pozorną nędzą i z rzeczywistym szczęściem swoim, a później dziwiłem się, że przedmiot, tyle godzin uwagi cudzoziemca, tak późno moją uwagę na siebie zwrócił.

Przybyłem do Polski z mieszaniną wyobrażeń dawnych panów i demokratów francuskich, tudzież z uprzedzeniem o srogości panów polskich i o poni-

żającym poddaństwie ludzi, do uprawy roli przez nich używanych. Gdym się bliżej przypatrzył ciemniejszy-
ciom i uciemżonym, nie spostrzegłem żadnych znamion ani w pierwszych okrutnych panów, ani w drugich pogwałconych niewolników. Widziałem bowiem w chłopach polskich przychylnie dla panów swoich uczucia, których ani niewola, ani swawola nie dopuszcza, a ztąd wniosłem, że wieśniacy mogą nieraz doznawać prześladowania i niesprawiedliwości ze strony panów, czego i wolny człowiek, przy największem zabezpieczeniu swoich praw osobistych, nie zawsze uniknąć może, ale że stan poddaństwa chłopów polskich nie był tak przykrym, jak sobie to cudzoziemcy wyobrażali, i że ci okrzyczani w Europie niewolnicy mieli częstokroć więcej sposobności dojścia do dobrego bytu i więcej pewności używania owoców pracy swojej, niż wolni rolnicy mojego kraju.

Od niepamiętnych czasów ustalił się między włościanami a panami polskimi pewien rodzaj patriarchalnych stosunków, opartych na bezwarunkowej uległości z jednej, a rodzicielskiej nieograniczonej władzy z drugiej strony, które miały za sobą powagę tradycyi i wpływ kojący czasu, co zwołna ślady niechęci pozacierał. Lecz ten stosunek utrzymywał się tylko w tych wioskach, które od wielu lat w jednej zostawały familii; słabnął w zasadach

swoich tam, gdzie drogą kupną nowa szlachecka rodzina rządy dziedzica obejmowała; nikt zupełnie i zamieniał się w zobopólną niechęć, gdy wioska przechodziła w ręce dzierżawcy lub zastawnika nieznanego włościanom, a bardziej jeszcze, gdy ją nieszlachcic lub cudzoziemiec posiadał.

Chłop polski, ów ostatni szczebel społecznego związku tego narodu, wyłączony od wszelkiego znaczenia i w poddaństwie szlachty żyjący, przejęty był wszelakoż zasadami arystokracji i nietylko umiał ją szanować w panach, ale nawet stosować do swego stanu. W dobrach magnatów był chłop zawsze zarozumialszym i hardziejším od wieśniaka w wioskach małych panków osiadłego, a u każdego szlachcica bardziej niż u mieszczanina, zwłaszcza też u Niemca. Ta jego hardość nie okazywała się nigdy względem panów, gdy ci nimi byli z urodzenia, czyli gdy, jak chłopci zwykli mawiać, byli panami z panów, ale była widoczną w ich obejściu z włościanami dóbr mniejszych panów i nie szlachty, których za niższych od siebie i czasem nawet za przedmiot pogardy poczytywali.

Było co widzieć po karczmach, na odpustach i jarmarkach, chłopów z dóbr wielkich panów, jak przewodzili nad chłopami szlachcica na jednej wiosce. Ich zarozumiałość i duma dawały się nawet

we znaki tej drobnej szlachcie, co ledwo życie ze zbyt małej własności utrzymać może i woli służyć lub żebrać niż rzemiosła się chwycić, zwłaszcza gdy zaufani w potęgę swoich panów, mieli chłopci jakie powody niechęci ku szlachcie drobnej w sąsiedztwie osiadłej. To lekceważenie zagonowej szlachty przez chłopów nastąpiło szczególnie za rządu pruskiego, gdy tamci stracili prawo wotowania na sejmikach, gdy nie było żadnych zjazdów szlacheckich, ani tem samem potrzeby ich pomocy w zajściach między panami zachodzących, a mianowicie też gdy szlachtę drobną zarówno z chłopami na rekrutów do wojska pruskiego brać zaczęto. Został im tylko przywilej noszenia kontusza i szabelki i siadania w ławkach w kościele; chłopci nie zaprzeczali im tych prerogatyw, nie naśladowali nigdy ich ubioru i nie siadali w ławkach dla nich przeznaczonych; lecz w karczmie lub na rynku miasteczka zniknęła powaga zagonowego szlachcica; nie uchylił przed nim czapki, nie ustąpił ani kroku ów chłop względem pana swego pokorny, zwłaszcza gdy wiedział, że ten pan nie dba o szlachtę lub z nią ma zatargi.

Prócz tej osobliwszego rodzaju arystokracji chłopskiej, będącej niejako odbiciem potęgi ich panów, można jeszcze było dostrzedz między chłopami pewne znamiona wyższości, przyznane niektórym dla

tych samych powodów, które między nami wyższość przyznają, to jest zamożność i urodzenie. Ojcowie rodziny gospodarstwa rolne trzymający, byli w większem poważaniu od wyrobników i od czeladzi nawet dworskiej. Był to rodzaj patryarchalnej powagi, której im nigdy inni chłopci i nawet panowie nie odmawiali. Widziałem nieraz młodych parobków kłaniających się do nogi podobnie jak panom, gospodarzom wiejskim, zwłaszcza podeszłym i zamożnym. Między gospodarzami czynili jeszcze różnicę dziedzicznych, czyli gospodarzy z gospodarzy, to jest takich co przez kilka pokoleń w jednej chacie mieszkali i jedno pole uprawiali, od gospodarzy nowych, na opuszczonych rolach przez panów osiedlonych. Każda wieś polska miała jedną lub kilka takich arystokratycznych rodzin chłopskich, łączących się nawzajem z sobą, w których gromady wybierały sołtysów wsi, członków bractw kościelnych i przewodników przy każdej uroczystości wiejskiej i mówców, imieniem gromady do panów prośby lub zażalenia zanoszących. Młodzież z takich rodzin przywodziła tańcom i robotom przy żniwie i pewna była pierwszeństwa przed innymi w dziewosłębach i zawarciu ślubów małżeńskich.

Jakkolwiek chłop polski ustępował niemieckiemu i francuskiemu pod względem głównych znamion

cywilizacyi, dobrego bytu i znajomości własnych stosunków z towarzystwem, nie był on niższym od zagranicznych wieśniaków pod względem tych zdolności umysłowych, które zdrowego rozsądku są podstawą, i stan poddaństwa, o którym tak przesadzone w pismach naszych były zdania, nie był tak przykrym i niewolniczym, aby ich miał pozbawiać wszelkiej możności polepszenia swego bytu. Pod tym ostatnim względem szczególnie pomyślnie były dla chłopów polskich czasy pruskie, a raczej pomyślnie dla handlu zbożowego okolicznosci, które podnosząc nadzwyczajnie cenę zboża, pozwoliły chłopom zbierać skarby pieniężne, o jakich dawniej nawet wyobrażenia nie mieli. Ten, co przedtem za pieniądze ciężko zapracowane, ledwo miał za co kupić nieco odzieży, obuwia i soli na własną potrzebę, co gdy jeszcze zboże na polu rosło, wartość jego żydowi zastawiał, aby niezbędne potrzeby zastąpić lub dług karczemny zaspokoić—stawał się za kilka korcy zboża panem takiej sumy pieniężnej, jakiej nigdy nie widział i bez pomocy ekonoma lub arendarza policzyć nawet nie mógł. A gdy popłata lat kilka trwała, przyszło do tego, że chłopci zaczęli pieniądze na kwarty i garnce mierzyć, zamiast zajmowania się trudną dla nich czynnością liczenia, a nie umiejąc użyć zyskownie pieniędzy nad wszelką miarę osobi-

stych potrzeb uzbieranych, chowali je nieliczone, lecz mierzone, to w zbożu, to w ziemi, póki się pastwą płomieni lub zdobyczą złodzieja nie stały.

Pomimo ten stan pomyślny i opieki rządu w razie ciemnienia lub niesprawiedliwości panów chłopom przyznanej, nie było między nimi żadnej przychylności dla Prusaków, którzy żadnego wpływu na odwiedzenie ich od dawnych zwyczajów i nałogów nie mieli i którzy nie zdołali zaprowadzić rozdzielenia między nimi a panami, za ich uciemężycieli uchodzącymi. Koloniści niemieccy, którzy napływali wówczas gromadnie do kraju i porządne zakładali osady w miejscach niedawno lasami pokrytych, nie znaleźli w chłopach polskich ani naśladowców, ani zazdrosnych ich dobrego bytu. Sąsiedztwo osad niemieckich nie miało żadnego wpływu na sposób życia i gospodarowania chłopu polskiego; wszelkie ulepszenia rolnicze w koloniach nie ściągały nawet jego uwagi. Niemiec był zawsze Niemcem i dlatego samego nie mógł uzyskać poważania chłopu polskiego, który mu owszem czynił ten zarzut, że tępi las, zakładając osadę.

Pamiętam, iż w owym czasie opowiadano o jednym prawie mimowolnem zabójstwie, popełnionem jedynie z powodu dziwnego uprzedzenia o Niemcach. Pod pewną wsią był kawałek złej drogi, zna-

ny z częstych przypadków wywracania się wozów tamtędy przejeżdżających. Że w tej kałuży siedział dyabeł, o tem nikt nie wątpił, a wszyscy życzyli, aby się znalazł śmiałek, któryby się chciał z tym dyablem spotkać i miejsce to z bytności jego oczyścić. Wieczorem na twardej jesieni przejeżdżał tem zawołanem miejscem napiły wieśniak i gdy właśnie czynił znak krzyża, aby je szczęśliwie przebyć, spostrzegł na tyle woza swego coś czarnego, czepiającego się wasaga; był to Niemiec kolonista, który chciał korzystać z następczonego na tym wozie sposobu przebycia suchą nogą błota. Rogaty jego kapelusz i kusa czarna suknia wzbudziły w chłopie przekonanie, że to musi być dyabeł, bo zdaniem wieśniaków, dyabeł zawsze po niemiecku chodził. Dalejże po nim, aby oswobodzić okolicę z czartowskiej przemocy i zyskać sławę śmiałego chłopca, co się z dyablem mierzyć odważa, i ugodził nieboraka kolonistę tak trafnie w głowę kłonicą, iż go bez duszy w kałuży zostawił, a sam, podciąwszy konia, pospieszył do najbliższej wioski chełpić się ze zwycięstwa, nad dyablem odniesionego.

ROZDZIAŁ X.

Opuszczam dom starosty.

Już drugi rok upływał, odkąd pędziłem spokojnie szczęśliwe życie u starosty i nie myślałem bynajmniej o tem, aby inne, świetniejsze pod względem towarzystwa i korzyści zapewnić sobie położenie, kiedy zbieg bardzo pospolitych okoliczności zmusił mnie do opuszczenia tego tak milego domu.

Wspomniałem już wyżej o uczennicach moich, a zwłaszcza o tej zajmującej Anusi, na którą żadnym sposobem obojętnem okiem poglądać nie mogłem. O jak to było trudne zadanie! trzeba było patrzeć, a nie widzieć, słuchać, a nie słyszeć, mówić, a nie wymówić; trzeba było, słowem, tłumić w sobie uczucie, które w wejrzeniu i w mowie co chwila objawić się groziło. Szczęściem mojem, że Anusia należała do tych dziś już bajecznych istot, które się nie do-

myślały tego, że mogą być przedmiotem skrytego uwielbienia, i nie umiały odgadywać tajemnic serca z samego wejrzenia na osobę, która je ukryć usiłuje. Dlatego byłem przy niej bezpiecznym pod tarczą jej niewinności i mojej nieśmiałości, a obawiałem się tego tylko, aby ktoś trzeci, wprawniejszy w odgadywaniu wewnętrznych uczuć, na ślad tajemnicy mojej nie natrafił. Miałem wprowadzić za nieodstępnego świadka lekcji przezemnie udzielanych pannę Urszulę, ową ciotkę moich uczennic, która miała długoletnie doświadczenie w walkach i cierpieniach miłości; a skazana od lat blisko trzydziestu na tajemie wielokroć wzbudzanych płomieni, powinna była poznać w innych znamiona uczuć przez siebie doznawanych. Lecz kochana ciocia miała, szczęściem dla mnie, tak niewyczerpany zapas nadziei, niczem niezrażoną miłość własną i tyle wytrwałości w oczekiwaniu spełnienia nigdy ziścić się nie mających życzeń, iż zawsze stosowała do siebie samej wszystko, cokolwiek we mnie spostrzegła, a co za znamię tajonej miłości uchodzić mogło.

Trzeba było nas widzieć u stolika podczas lekcji; ja w środku obok małego Jasia, dwie panny po dwóch bokach stołu, a ciocia naprzeciw mnie, zwykle robieniem pończoszki zajęta i poglądną ukradkiem na mnie, czy też raz przynajmniej nie spo-

strzegę i nie zrozumieć tej ośmielającej zachęty, którą wejrzeniem swoim wyrazić usiłowała. Jako przeciwieństwo panny Urszuli, zwracała mimowolnie na siebie wejrzenie moje Anusia, a nie unikając go nigdy, albo najobojętniejszym wyrazem oczu na pomieszanie mego wejrzenia odpowiadała, albo w przestankach przerwanego przezemnie dyktowania, sięgała końcem pióra pod nos braciszka, silącego się nad kaligrafię i mocno oburzonego psotami siostry. A gdy przyszło napomnieć swawolnicę lub przeglądać i poprawiać jej robotę, nie śmiałem strofować, jakbym był winien uszanowanie temu dziecku, ani pochwalić, co pochwały godnem było, i nieraz drżało w ręku mojem pióro, którem poprawki w jej piśmie czynić miałem. Wtenczas poglądałem na jej siostrę, która z uwagą przestroóg moich słuchała i nieraz tak się we mnie wpatrywała, iż mnie jej wejrzenie przerażało, a w ostatnim razie na ciocię, która po swojemu pomieszanie moje tłómaczyła. Najgorsze, najniebezpieczniejsze dla mnie były chwile poufałej wesołości Anny, kiedy nie znając przemocy swoich lat szesnastu, swawoliła jak dziecię i mnie za przedmiot dziecinnych igraszek swoich brała. Trudne także były dla mnie rzadkie momenta jej uwagi na naukę, którą wykładałem, bo jeżeli wtenczas przez parę minut wlepiła we mnie oczy, słuchając z zajęciem mowy

mojej, niezawodnie nastąpiło takie pomieszanie myśli i wyrazów w mojej głowie, że bez związku mówił lub zupełnie mówić przestał.

Takie walki skrytych uczuć moich z sumieniem i obowiązkiem odnawiały się codziennie i trwały tak długo, że nakoniec przywykłem do tego stanu słodkiego cierpienia, którego żadna nie mogła ukoić nadzieja, tem szczęśliwy, że mnie nikt nie rozumiał, ani mógł odgadnąć przyczyny smutku, jaki się nieraz na mojej twarzy malował. Pamiętam jednak jedną chwilę niebezpieczną i pełną trwogi dla siebie, w której myślałem, że się moich skłonności domyślano.

Było to w jesieni, w najpiękniejszej porze roku w Polsce; wszystkie dzieci razem z matką zajęte były zbieraniem owoców w ogrodzie; panna Urszula przechadzała się samotnie w cienistym szpalerze, a starosta siedział pod ulubionem sobie drzewem, odpoczywając po obiedzie i spostrzegłszy mnie przechodzącego w zamyśleniu, zawołał na mnie i rzekł:

— Czego mi pan taki zamyślony i smutny często? Dawniej byłeś pan weselszym.

Trudno było dać zaspokajającą odpowiedź na to zapytanie, dlatego odrzekłem z dosyć wymuszonym uśmiechem, że tak nie jest bynajmniej.

— Tak jest, a nie inaczej — dodał starosta — pan jesteś jakby rozkochany.

Czułem, jak mi krew do twarzy uderzyła, a nieposłuszne woli mojej oko nie śmiało się zwrócić na twarz starosty, aby w niej wyroku swego nie wyczytało.

— Pomieszanie waćpana zdradza go — mówił dalej starosta — zaczynam wierzyć temu, co mi mówiono, a o cobym pana nigdy nie był posądził.

Pomieszanie moje rosło za każdym wyrazem; czułem, że dłuższe milczenie mogło mnie zgubić i zapytałem, coby takiego o mnie mówiono?

— O! nic złego! — dodał, uspokajając mnie starosta, bo mnie to przekonywało, że nie może mieć na myśli skłonności mojej ku jego córce. — Ale — mówił dalej z dobrocią — wyznaj mi szczerze, między nami, ja cię nie zdradzę, czyś też kiedy nie prawił jej jakich słodyczy?

— O nie, zaręczam panu najuroczyściej — odrzekłem żywo, jakbym się chciał usprawiedliwić.

— Bo lubo jestem przekonany, iż pan nie masz zamiaru wzbudzenia jakowych skłonności w osobie, która przez słabość i łatwowierność mogłaby się dać uwieść zmyślonem oświadczeniem, ale tak przez swawolę możeś kiedy co powiedział takiego, coby jej dać mogło myśl o uczuciach, jakie w tobie wzbudziła.

Oślupiałem, trwoga wzmagająca się we mnie, wahałem się, co mi czynić wypadało: czy milczeć, czy też z wyrazem żalu za grzechy, wyznać słabość moją i jej niewinność i kiedy w mojem pomieszaniu zacząłem się rozwodzić nad surowością moich zasad moralnych, nad znajomością obowiązków mego stanu i powołania, przerwał mi starosta:

— O! nie bierz pan tego tak seryo; wszakże ja tylko żartuję, bo trudno kogokolwiekładź posądzać o miłość ku pannie Urszuli, która mi wyznała pod sekretem, że nie jest obojętną dla pana.

Ochłonąłem; uśmiech pociechy osiadł na moich ustach i gdym się zupełnie uspokoił, zacząłem potakiwać staroście w żartach jego nad tylekroć zawiedzioną, a zawsze wznawianą nadzieją serca panny Urszuli. Ona tymczasem uważała zdaleka długą rozmowę moją ze starostą i odgadła jej przedmiot z powodu, że niedawno była go prosiła, aby mnie wybałdał względem uczuć i zamiarów moich.

Oddalając się od starosty, wahałem się, co mam czynić: czy pójść do szpaleru, gdzie mocno wzruszona ciocia mego przybycia z bijącym sercem wyglądała, aby raz na zawsze jej złudzeniu koniec położyć, czy też uniknąć wszystkich i wrócić do mieszkania mego, aby odpocząć po walce uczuć, jaką przebyłem? Lecz jakby na największe utrapienie mo-

je, przybiegła ku mnie Anusia i z dziecinną prostotą swoją wzięła mnie za rękę, zmuszając biedz za sobą, abym podziwiał kosz pięknych jabłek, świeżo z drzewa zerwanych.

Obawa, którą dopiero z powodu dwuznacznych wyrazów starosty byłem przejęty, porady rozsądku, które kazały unikać wszelkich wzruszeń, tajemnicę serca mego wyjawić mogących, i wzgląd na opuszczoną ciotkę, która w alei przeklinała Anusię za to, że mi nie dała zbliżyć się do niej, wszystko to znikło z mojego pojęcia za jednym dotknięciem rączki Anusi; a jednak nie było w tem nic takiego, coby mi jakkolwiek nadzieją pocieszać się dozwalało.

Dzień ten pozostał w pamięci mojej dla zbiegu najprzeciwniejszych wrażeń, które w jednej chwili umysł mój zajęły. Przerażenie z powodu obawy odgadnienia tajemnicy serca, wstręt ku tej, która pragnęła wzbudzić we mnie przychylne dla siebie uczucie, i niewymowny pociąg ku tej, która się nawet nie domyślała tego, że mnie tak mocno zajmuje; obawa i ojca, i ciotki, i córki, a następnie w tejże chwili wdzięczność dla ojca, który nie odgadł, dla ciotki, która mimowolnie odwróciła podejrzenie, i dla córki, która bez wiedzy ożywiła najczystsze uczucie. Byłem szczęśliwy, pomimo przekonania, że nim istotnie być nie mogę, połem się słodyczą wrażeń i uczuć

moich i gdym tego tylko pragnął, aby nikt moich złudzeń i marzeń szczęśliwości nie przerywał, knuły się tajemne spiski nietylko na moje, lecz, co gorsza, na Anusi szczęście, bo dwie rodziny powzięły zamiar połączenia się węzłami pokrewieństwa, których ona głównem miała być ogniwem.

Uważałem od niejakiemu czasu częstsze niż dawniej wizyty państwa podkomorstwa u starostów i tych u nich. Zaczął także bywać częściej w domu naszym stary kawaler z okolicy, znany z tego, że miał szczególne upodobanie swatać i pośredniczyć między osobami pragnącemi wejść w związki małżeńskie, którego sumienie dźwigało brzemie podwójnych kłamstw, obudwom stronom pod słowem honoru oświadczanych. Ten swat z powołania odbywał długie sekretne konferencye ze starostą, durzył starościny zwierzeniami także w sekrecie przed jej mężem czynionemi i prześladował Anusię półsłówkowemi żarcikami, których znaczenia rzadko kiedy się domyślała. Aż tu dnia jednego zajechał nowiuteńki pojazd w pięć srokatych koni zaprzężony, liberya kapiąca złotem, stangret umiejący dzielnie trzaskać, konie rozpuścić cwałem i w miejscu na zajeździe zatrzymać, a z tego pojazdu wysiadł pan podkomorzyc z owym przyjacielem obu domów... wtenczas dopiero domyśli-

łem się wszystkiego i doznałem podobnego uczucia, jak nędzarz, któremu ostatni kęs chleba porwano!

Skazany z powołania na bezżenność, oceniałem zawsze lepiej ważność małżeńskiego związku i szczęście, którego on jest podstawą, od tych, którym nic na przeszkodzie nie stoi, aby los swój małżeństwem ustalić. Dlatego gniewał mnie zawsze widok konkurenta, który lekkomyślnie i bez natchnienia serca do wyrzeczenia najświętszych ślubów przystępował, i żal wzbudzała młoda panna, która bez namysłu opuszczała dom rodzicielski, aby się oddać nieznanemu dlatego tylko, że miała przed sobą widok zostania panią domu. Bolesniej niż kiedykolwiek ozwały się we mnie te uczucia, gdym bliżej poznał zamierzonego małżonka Anusi i gdym widział, jak ona oświadczenia jego przyjmowała.

On nie był ani złym, ani chciwym, ale też ani czułym, ani myślącym człowiekiem. Rachuby majątku rodzice za niego poczynili; nie były one pobudką przychylności jego ku córce starosty, wdzięki jej nawet mało na tę skłonność wpływały, bo głównym bodźcem do małżeństwa była u niego chluba wystąpienia i popisywania się przed światem w roli konkurenta i zajaśnienia w całej świetności młodego pannie przed sąsiadami w okolicy, a nawet stolicy, gdzie się niejeden zapyta: czyj to jest ekwipaż? z kim

się ten młodzieniec żeni? A ona, niewinne dziecko, nie znające jeszcze miłości i skazane na to, aby jej nigdy nie znało, uśmiechała się na samą myśl małżeństwa, które jej wszystkie uciechy bogatej wyprawy i hucznego wesela zapowiadało... i puszczała się wesoło i bez trwogi w ten nowy zawód, jak dziecko na ślizką powierzchnię ledwo ściętych lodów, które się co krok pod niemiem załamają i pełną nadziei przyszłość jego pochłonąć mogą!... Biedna Anusia! nie mogłem być świadkiem tego, co inni jej szczęściem zwali, bom cierpiał za nią i za siebie samego i z ciężkim żalem opuściłem siedlisko najczystszej szczęścia mego, na miesiąc przed chwilą na ślub jej wyznaczoną!

Ta tak przykra dla mnie okoliczność nastęczyła mi później uwagi nad niestosownością zwyczajów polskich przy zawieraniu małżeństw w rodzinach szlacheckich.

Wystawność konkurencyi dla młodzieńca, a wyprawy dla panny, są w Polsce często bardzo głównymi pobudkami do zawierania lekkomyślnie małżeństw, których cały urok znika w chwili, gdy się szczęście małżeńskie ma rozpocząć. Słyszałem we Francyi, w Anglii i w Niemczech o kosztownych wyprawach księżniczek i innych nadzwyczaj bogatych panien, o wielkich nakładach na podarunki ślubne i na wy-

prawy weselne, przez magnatów czynionych, lecz w Polsce dopiero widziałem upowszechnioną wystawność przy zawieraniu związków małżeńskich do tego stopnia, iż nakłady na to czynione nieraz przyszłość małżonków na niedostatek narażają. Patrząc na zabiegi i wydatki z tego powodu czynione, zdaje się, że obie strony nawzajem chcą ukrywać istotny stan majątku swego, i że żeniący się obiera tę chwilę na to, aby choć raz w życiu pożyczonym blaskiem zajaśnieć.

Za moich czasów szlachcic polski, choćby na jednej niewielkiej wiosce, nie mógł myśleć o pannie z dobrego domu, choć bez posagu, póki nie miał pięciu koni, ale koniecznie pięciu, w szorach, albo przynajmniej w brzęczących, dzwoniących chomontach, karety choć nie nowej, byleby karety i strzelca z galonami. A gdy to wszystko, czy własnym, czy też pożyczonym groszem nabył, gdy za pomocą tego wszystkiego zdołał zyskać względy panny, matki, ciotki i zaufanej służącej i otrzymać przyrzeczenie proszonej ręki, natenczas zaciągnął dług nowy, aby kupić szal turecki na prezent dla narzeczonej, lub gdy brakowało na to kupno funduszu, wyjednywał sobie za opłatą wysokiego procentu kredyt w którym sklepie ormiańskim, pożyczzał szat na figuranta przez czas konkurencyi i pierwszych dni po ślubie, z za-

strzeżeniem zwrócenia onegoż w umówionym terminie. Prócz tego wszystkiego trzeba było występować przy pannie, gdziekolwiek się pokazała, sprawiać jej tak zwane siurpryzy, kupować łoże na widowiska i obsypywać cukierkami za każdą bytnością w Warszawie, a przytem nie zapominać o ludziach służących, zwłaszcza też o pannie garderobianej, i okupować ich przychylnością hojnemi datkami. Nader było pięknie i chlubnie odbyć pojedynek za narzeczoną dla jakiegobądź, choćby najniesłusniejszego powodu i nosić przez parę tygodni zranioną rękę na chustce. Ze strony panny czynić musieli rodzice zbytkowne wydatki na wyprawę, względem których istnieją w Polsce tradycyjne przepisy, co ze sreber, co z bielizny i ze sprzętów koniecznie kupionem być musi, choćby rodzice długiem majątek obarczyli. Ileż to widziałem przykładów upadku lub znacznego nadwreżenia majątków obu rodzin i małżeństw, w pierwszym roku po ślubie zwaśnionych z tego jedynie powodu, że na konkurencyę i wyprawę wydano to, co do utrzymania dalszego życia służyć miało i że się przed zawarciem małżeństwa nawzajem oszukiwano.

ROZDZIAŁ XI.

Warszawa za Prusaków.

Jakże to mało ludzi umie cenić wartość własnej zagrody i szczęście przywiązane do posiadania stałego miejsca pobytu, zwłaszcza wśród swoich, na łonie ukochanej rodziny! Trzeba przejść przez zmienne koleje życia między obcymi, coraz to w innym miejscu spędzone, doznać przy rozstaniu z ulubionymi ludźmi i siedliskami, a następnie nieprzyjemności zaznajomienia się z nowymi dla siebie ludźmi i miejscowościami, i zastosowania się do sposobu widzenia, do zwyczajów i narowów osób, w których uległości żyć wypadnie; trzeba, jednym słowem, doznać wszelkich utrapień powołania służebnego, jakkolwiek wysoko poważaniem i pieniędzmi wynagradzanego, aby umieć cenić własność, jakkolwiek ubogą, w której, bez ulegania obcym przywidzeniom, spokojne życie pędzić można.

Ze smutkiem wspominam dzisiaj każdą zmianę tego rodzaju w ciągu mego pobytu w Polsce, lecz ze wszystkich najboleńszem dla mnie było opuszczenie domu starosty, a to tembardziej, że nie miałem przed sobą pewności umieszczenia się tak, abym nie już przyjemności, lecz równych przynajmniej względów doznawał, jak w tym domu. Idąc bowiem za radą przyjaciela mego, który mnie do Polski sprowadził, postanowiłem udać się do Warszawy, aby tam miejsca dla siebie poszukać. Skłaniało mnie do tego to mniemanie, że nowość życia miejskiego i roztargnienia, jakie mi nastęczyły, zatrą łatwiej w pamięci wrażenia, zarazem przykre i miłe, które w niej pobyt w domu starosty był zostawił.

Kto kiedy doznał zawodu w oczekiwaniu swoim takiego, że gdzie się spodziewał uciechy, tam same przykre wrażenia odbiera, ten pojmie uczucia, jakimi byłem przejęty, gdym po kilkoletnim pobycie na wsi pierwszy raz przybył do Warszawy, marząc o tem, jakich przyjemności będę używał w dużem mieście, a odbierając same przykre wrażenia od wszystkiego, co mnie otaczało i co ciekawość moją zaslaniało.

Warszawę za panowania pruskiego przyrównać można było do owego opustoszonego zamku, w którym niegdyś bogata rodzina przemieszkiwała, a co te-

raz opuszczony stoi, lecz zachował jeszcze wszystkie znamiona dawnej świetności i zbytku. Gdy przebiegasz jego puste komnaty, zdaje się, że mury odbijają jeszcze odgłosy uczt i biesiad, w nim wyprawianych. Poglądasz na sprzęty domowe z takim uczuciem, jakby dawni ich właściciele przed chwilą ich używali i do nich wrócić mieli. A jeżeli poweźmiesz przekonanie, że ten gmach przeszedł w obce ręce i nigdy już świetnymi mieszkańcami zajęty nie będzie, obecna chwila smutkiem ogarnia duszę twoją, która we wspomnieniach przeszłości pociechy szukać będzie. Podobne uczucie przejmowało każdego myślącego człowieka, gdy w kilka lat po upadku Polski dawną jej stolicę zwiedzał.

Tak jak w owym opuszczonym zamku, nie było już w niej dawnych właścicieli. Wszystkie znamiona świetności i znaczenia, na gmachach i pomnikach pozostałe, były jak rzeźby i złoczone napisy na grobach, na które się ogląda z myślą smutną o tych, których popioły pod nimi spoczywają. Ruch codziennego życia wśród tych murów osieroconych podobne czyni wrażenie, jak widok dzieci igrających między mogiłami. Żaden przedmiot nie może zająć ciekawości, bo wszystko nosi barwę żałoby, a obecna chwila znika wśród wspomnień na dawno ubiegłe lata! Za pierwszym wstępem do miasta uderzył

mnie widok zamieszkałych chat i dworców, a obok nich opustoszałych gmachów i pałaców.

Myślałbyś, że ludność przemysłowa zajęła miejsce ludności próżniaczej bogaczy, że mierność nastąpiła po zbytkach. Lecz inny jest widok przemysłu, zajmującego miejsce zbytku i próżności, bo on wszędzie sięga pracowitemi rękami i zmyślnymi maszynami swemi osiedla mierną zamożność, skrzętne i szczęśliwe rodziny w skromnych domach, zapewnia złożone przybytki warsztatami i nie waha się pokryć wyrobami dla pracowitego ludu złożonych rzeźb mieszkania bogacza. Nie zaszła tu pożądana zmiana w mieszkańcach miasta i w ich dążności. Pałac jest pusty, a dworek ubogi, bo mieszkańcy jego żyli z łaski i rozrzutności pana, który pałac zajmował. Opustoszenie gmachów jest widocznym znamieniem upadku narodu, a mieszkańcy dworców ostatnim śladem krajowej ludności miasta, do obcych przychodniów należącego.

Nie byłem w podziemnem Herkulanum i Pompei, lecz wyobraziłem sobie, czem być mogą te podziemne miasta, gdy zwiedzałem pruską Warszawę i gdy się przypatrywałem tym jej gmachom, w których niegdyś koncentrowało się całe życie narodu, co były siedliskiem wyższego towarzystwa polskiego. Gmachy te stoją w posępnem milczeniu wśród zgieł-

ku ulicznego. Bramy wjazdne dziedzińców albo są zarzucone zbiorem śmieci, albo też zastawione niekształtną budową stragana. Gdy napół spróchniałą furtką wejdiesz na dziedziniec, zdaje ci się, żeś przestąpił próg, za którym jest miasto martwe, miasto historii i wspomnień, Herkulanum Polski. Bruk podwórza przerosł cały trawą, najbardziej tam, gdzie nigdy koła zajeżdżających pojazdów koleje w nich wytlaczały. Lipy, wzdłuż muru dziedzińca stojące, oszpecone są suchymi gałęziami i gniazdami wróbli, które wrzaskliwym szczebiotaniem swoim cichość miejsca tego przerywają. Przed pałacem kamienie ciosowe z otworami, w które hajducy dawniej wkładali pochodnie, dziś widać na nich i na kamiennych parapetach okien ślady ostrzenia po nich noży i innych narzędzi rzemieślniczych. Jaskółki założyły lepianki swoje we wszystkich niemal oknach, krążą koło nich swobodnie, pewnymi będąc, że im nikt spokojnego ich posiadania nie zaprzeczy. Posągi, wazony i gzymsy gmachu pokryły mchy i pnące się rośliny, a po murach widać ślady wilgoci i zaciekania. Gdzie dawniej służący się mieścili lub kuchnia dworska była, zamieszkuje dziś rzemieślnik, który pustych a złoconych pokojów na składy dla siebie używa. Gdy przestąpisz próg takiego opuszczonego pałacu i zwiedzisz ozdobne niegdyś komnaty

i sale, smutek ogarnia duszę, marzysz o tem i o tych, co niegdyś te miejsca zapelniali, o świetnych zgromadzeniach, które w tych murach uciech wyższego towarzyskiego pożycia używały, i poglądasz na pusty przestwór, jak na scenę wśród dnia odwiedzaną, na której się myśli tylko o aktorach, którzy na niej grą swoją zachwycali.

Najgłośniejszy, a zarazem najsmutniejszy pod wszelkim względem, ze wszystkich gmachów Warszawy, jest zamek, siedlisko dawnych królów i sejmów polskich, w którym każde wejrzenie na posępne mury i na pomniki historyczne natrafia. A w jakimże to miejscu stoi ten zamek? musisz chyba przejść za Wisłę, abyś go widział i domyślił się, że to jest królewskie mieszkanie. Lecz w mieście samem możesz być o kilka kroków od zamku, a nie wiedzieć, że przy nim stoisz. Tam, gdzie posąg jednego z królów Polski, najmniej godnych posągu, ponad okopconemi domami się wznosi, jest brama niska, ciemna, w całej szerokości swojej sklepikami i stolikami przekupek ściśniona, przez którą główne jest przejście do trzech najważniejszych przybytków: do kościoła farnego, w którym się koronacje królów odbywały; do ratusza stolicy, na którym królowie hołdy mieszkańców odbierali, do zamku, w którym przemieszkiwali i sprawy narodowe na sejmach załatwiali.

Dziś, gdy bramą Krakowską wśród zgiełku i błota przejedziesz do kościoła, ratusza lub zamku, trudno ci wierzyć, żeś stanął w przybytkach religijnego i politycznego życia potężnego niegdyś narodu. Ratusz i świątynia nietyle cię jeszcze zasmuca, bo w jednym codzienne zajęcie władzy miejskiej, a w drugiej modły kilku pobożnych, wśród poważnych murów, pospolite przedstawiają ci obrazy. Lecz gdy wejdiesz w dziedziniec zamkowy, gdy przechodząc przez niego, usłyszysz odgłos własnych kroków, przez ściany czworobocznego gmachu powtórzony, gdy nie napotkasz żyjącej duszy tam, gdzie niegdyś tysiące dworzan i do dworu przybywających przebiegało, ogarnie cię myśl o znikomości wielkości ludzkiej i przypomnisz sobie, że w politycznym znajdujesz się grobie...

Ja, obcy przychodzień, wygnaniec, szukający na gościnnej ziemi przytułku, któremu wśród murów zamkowych przyszły na myśl gmachy królów francuskich, okropniej jeszcze dawniejszym panom wydarło, odniosłem z pomiędzy nich wrażenie podziwu i ciężkiego smutku i chciałem był po ulicach same zasmuczone twarze napotykać, a widziałem tylko obojętne.

Jakże rażącym było przeciwieństwo wspomnień na dawne życie widokiem zamku wzbudzone, a wi-

dok rzeczywistego życia, który mnie na przyległej ulicy innym całkiem wrażeniem przeraził.

Z przybytków królewskich, z miejsc pełnych wspomnień kilku wieków życia zgasłego już narodu przeszedłem do brudnych siedlisk ludu, który od wieków z własnej wygnany ziemi, na obcej własną narodowość zachować umie. Z poważnej cichości murów zamkowych dostałem się do głuszącego zgiełku żydostwa, na jednym miejscu nagromadzonego. Tam wszystko było śmiercią, tu zaś życiem; tam płakać należało nad tem, co minęło, tu ubolewać nad tem, co pozostało. Królów i dygnitarzy, dworzan i usłudze oddanych obywateli nie było już wśród murów zamkowych, tłumy obrzydliwych żydów pozostały i gnieździły się wśród chat i kramików Pociejowa. Nie, kto tego nie widział, ten nic podobnego sobie wyobrazić nie może, bo trudno wymyślić wśród cywilizowanego kraju i miasta podobne siedliska dla istot, które ze zdolności umysłowych do ludzi, a ze sposobu życia i przemieszkiwania bardziej do zwierząt są zbliżone. Jedna z głównych ulic, od zamku do pola elekcyjnego wiodąca, a z początku Senatorską, w końcu Elektoralną zwana, zajęta była w części bliższej zamku samymi prawie żydami. Naprzeciw pustego teraz pałacu prymasów polskich, w samym

domu biskupów krakowskich i w dalszym rzędzie rzadkich w Warszawie wielkich domów, zagnieżdżony jest długi szereg sklepów żydowskich, licznie przez eleganckie nawet damy uczęszczanych, przed którymi przejść nie można, abyś nie był napastowany, ciąganym, szarpanym i wszelkimi środkami do wstąpienia do sklepów skłanianym. Dalej, gdzie jeden z celniejszych gmachów miasta, pałac Jabłonowskich, nad inne przyległe domy się wznosi, natrafiasz na prawdziwe mrowisko żydowstwa, przemieszkującego w blizkich upadku murach do rodziny Pocijów należących, w niezliczonych budkach i kramikach drewnianych, w podwórzach tej posesyi wzniesionych i w przyległym czworobocznym gmachu na schronienie dla panien Kanoniczek, przez dobroczynną fundatorkę tego zakładu przeznaczonym.

Jeżeli cię w większej części miasta przerażały pustki, tu cię razi przepelnienie i natłok. Cokolwiek nieochędnostwo i zaniedbanie policyi miejskiej najohydniejszego przedstawić może, to wszystko znajdowało się na Pocijowie. Cudzoziemiec wahał się przestąpić po za obręb tej szczególnego rodzaju oazy wśród pustego miasta, a kupiec szlachtetnego powołania rumienić się mógł, gdy widział, do czego handel może być doprowadzony.

Kiedyś zdołał precyzyjnie się przez ten tłum od-

rażającego ludu, gdziekolwiek obrócić kroki, czy na wprost, czy na lewo, czy na prawo, wszędzie wchodził w pustynię, jakby na to, abyś powziął przekonanie, że tylko wyjątek ludności dawnej stolicy został jeszcze przy czynnem życiu. Minawszy bowiem Pocijów, masz na prawo w ulicy dom menniczny, dziś nie służący do swego przeznaczenia. Nawprost długi szereg chat drewnianych i licznych dworków naprzeciw kościoła Reformatów. Za tym kościołem pałac błękitny, z zamkniętymi bramami dziedzińca, którego właściciele pod austriackim rządem w sławnych przemieszkują Puławach; naprzeciw pałac pusty Mniszków, z publicznym ogrodem spacerowym i upadające już mury pałacu Ogińskich, w części jeszcze do zamieszkania przydatne, przez uczęszczaną oberżę zajęte. Wróciwszy się do jądra ludności żydowskiej, gdyś się od Pocijowa zwrócił na lewo, natrafiasz w końcu ulicy na pałace: najprzód ministrów, a dalej królów saskich, na drugi zamek monarszy, własnością przedostatnich królów elekcyjnych będący. Tu przynajmniej nie natrafisz na pustki; pałac Brühlowski zajęty był bowiem przez gubernatora pruskiego Warszawy, czcigodnego generała Köhlera; nie raził mnie tu, jak gdzieindziej, widok warty pruskiej, jakbym pamiętał, że tu niegdyś zawsze żołnierz niemiecki zaciągał wartę, ani wzbudził we mnie smutnych wspo-

mnień pałac saski, bo już się chyliła do upadku Polska, gdy tego narodu królowie nieczynne a rozpuszne w tych murach wiedli życie.

Na drugim dziedzińcu pałacu Brühlowskiego spostrzegłem przechodzących razem żołnierzy pruskich, zmieniających wartę, żydów śpieszących do kancelaryi gubernatorskiej i obywateli w ubiorze polskim, poważnym krokiem z odwiedzinami do generała Köhlera idących i z westchnieniem wspominałem sobie na to, którzy z tych ludzi byli cudzoziemcami, a którzy panami kraju? w tych Polakach w poważnym stroju zdawało mi się widzieć cienie, do pól Elizejskich bardziej, niż do tej ziemi należące.

Trudno mi przyznać, że ci królowie Sasy, po których tylko pałac i ogród pozostały jako pamiątki, w lepszym miejscu rezydencję swoją założyli, niż królowie polscy. Przynajmniej, że miejsce otwarte i pałac między wielkim placem i ogrodem wystawiony. Dziś wszystko opustoszone. Od Krakowskiego-Przedmieścia brama wysoka i po dwóch bokach placu zwaliska lub reszty stajen królewskich, sam pałac w stylu naszych gmachów za czasów Ludwików XIV i XV postawionych, jednopiętrowy tylko, ale poważny i rozciągły, bo całą szerokość placu przerzynający. Urządzone go właśnie na wyższą szkołę, którą Prusacy pod nazwiskiem Liceum w tym celu

zaprowadzają, aby młodzież polską z niemieckim językiem oswajać i do pobierania nauk po akademiach niemieckich sposobić. Za pałacem rozciąga się obszerny i piękny niegdy ogród, w którym wznosi się pośrodku altana bez gustu, przez Prusaków przerebiona z upadających murów większej budowy, w kształcie bramy tryumfalnej wzniesionej. Publiczność tu tejsza żałuje ruin, do których uczęszczała na lody Lesła, i zowie nową altanę kurnikiem z powodu drewnianych kratek, któremi w górze jest ozdobiona, ale uczęszczają jak dawniej na chłodniki i cukry, które i mnie się wybornemi zdawały.

Dziś ogród Saski składa się tylko z trzech alei cieniowych: jedna szersza środkowa i dwie boczne; reszta gruntu drewnianym parkanem po dwóch stronach oddzielona, służy za pastwisko dla krów i w części jest uprawiana pod warzywo. Pokazują jeszcze po lewej stronie nieuczęszczanej części ogrodu mur wysoki od ulicy Królewskiej, w długości kilkunastu łokci wzniesiony, który miał należeć do strzelnicy królewskiej za Augusta III. Mówiono mi, iż tam zwabiano psy mięsem z upadłych koni, do których król miał upodobanie wprawiać się w strzelanie, z altany osobno na to wystawionej.

Ogród Saski widzialny jest od targu końskiego za nim leżącego, walącym się murem ze sztachetami

okolony i był dawniej żelazną bramą zamykany. Nie wiem, czy taki sposób zamykania był niegdyś osobliwością, dosyć, że cały plac i targ, za ogrodem położony, nazywa się Żelazną Bramą i że to nazwanie w pospółstwie jest równoznaczne z targiem, na którym wszelkiego rodzaju wiktuałów dostać można. Za tym targiem są koszary kawaleryi, od najzdobniejszego swego pułku dragonii królewskiej, pod dowództwem Mira za króla Stanisława zostającego, koszarami Mirowskimi zwane. Dziś stoją w nich tak zwane rajtary pruskie, to jest pułk dragonów białych z czarnymi wyłogami, w którym młodzież polska zaczyna służbę obejmować. Dziwić się należy może temu, że najmniej do wojskowości usposobiony król polski najwięcej dla wojska zrobił, a przynajmniej koszary przez niego w kilku punktach miasta wystawione dowodzą dążności do porządku w regularnem wojsku, albo może też tylko chęci zostawienia po sobie pamiątki w znakomitych gmachach publicznych.

Co z pomiędzy wszystkich najpiękniejszą jest pamiątką tego rodzaju, to letni pałacyk królewski w rozkosznej dolinie wśród cienistych drzew i pomiędzy przezroczystymi stawami wystawiony, który nosi skromne nazwisko Łazienek królewskich, tak, iżbyś sądził, że monarcha tyle pieniędzy i gustu na to tylko w to miejsce włożył, aby kąpiel dla siebie urzą-

dzić. Nazwisko nie dodaje i nie ujmuje przedmiotowi; dowodzą tego Łazienki, które na zawsze pozostaną arcydziełem gustu i jednym z najpiękniejszych domków wiejskich królewskich w Europie. Będąc tam, zapomina się o monarsze, a myśli się o Poniatowskim, jako o człowieku z wyższym usposobieniem, przejętym uczuciem pięknego i dobrego, umiejącym uprzyjemnić sobie krótki pobyt na ziemi, a obok tego jako możliwym znawcy i opiekunie sztuk pięknych, który miał chęć i zdolność doprowadzić je do zakwitnięcia w kraju, gdzie do jego czasów te sztuki zupełnie prawie odłogiem leżały.

Wyznaję, że mnie żal ścisłał, gdym zwiedzał pokoje i pokoiki tego ślicznego pałacyku, gdym podziwiał obrazy mistrzów i portrety pięknych kobiet, do rodziny lub towarzystwa króla Poniatowskiego należących, gdym wszedł na niskie piętro pałacyku, z kądem ten sam jak niegdy widok na cienisty gaj i przezroczystą wodę, a gdzie oddawna nie masz tych, co upojeni rozkoszą, wyglądali niegdy tem oknem na tę czystą powierzchnię, gdy się w niej księżyc przegłędał, i na cień gaju, do którego się promień jego zakradał. A jednak wszystko jest jeszcze na swoim miejscu w tych tajemniczych pokojach królewskich, i stół, na którym monarcha pisywał z kałamarnicą, piórem i papierem, nawet i krzesło przed stołem i mi-

niatury piękności ówczesnych, i łożko monarsze, wszystko to zachowano nietknięte... doprawdy, że mi żal było tego pięknego Poniatowskiego, który umiał życia używać... Ach, czemuż nie umiał panować!

K O N I E C.



30—

D Nr 274163



12393 / 17



Wydawnictwo PWN